

B
WF
UW

26501

Połączone Biblioteki WFIS UW, IFIS PAN i PTF

U.26501



39026501000000

26501

H-121620 -



2

TEGOŻ AUTORA:

- EKSTAZA — POEZJE — LWÓW 1898
NOCE BEZSENNE — POEZJE — LWÓW 1900
ŚWIĘTO KWIATÓW — POEZJE — LWÓW 1904
KIEDY RANNE WSTAJĄ ZORZE — POEZJE — LWÓW 1907
OJCZE NASZ — MODLITWY WIECZORNE — LWÓW 1907
OGLĄDAM SIĘ ZA SIEBIĘ — POEZJE — WARSZAWA 1912
WYBÓR POEZJI — WARSZAWA 1912
TA, CO NIE ZGINEŁA (WSPÓLNIE Z EDWARDEM SŁOŃ-
SKIM) — WARSZAWA 1915
KSIĄŻKA I CZŁOWIEK — WARSZAWA 1916
MIASTECZKO — WARSZAWA 1917
KRYZYS INTELIGENCJI POLSKIEJ — WARSZAWA 1918
KRAJ LAT DZIECINNYCH — POEZJE — WARSZAWA 1918
KSIĄŻECZKA ŻOŁNIERZA POLSKIEGO —
WARSZAWA 1919
POWITANIE MORZA — WARSZAWA 1920
ZA ATLANTYKIEM — WARSZAWA 1921
PODSTAWY KULTURY NARODOWEJ — WARSZAWA 1922

ZDZISŁAW DĘBICKI
N A R O D Z I N Y
I D E A Ł U

LIBRARY OF THE
UNIVERSITY OF TORONTO
100 St. George Street
Toronto, Ontario
M5S 1A5

Z D Z I S Ł A W
D E B I C K I

*NARODZINY
IDEAŁU*

* 26501

1923

LWÓW — POZNAŃ

WYDAWNICTWO POLSKIE

OKŁADKĘ RYSOWAŁ E. CZERPER



26501

WSZELKIE PRAWA ZASTRZEŻONE

POZNAŃSKA DRUKARNIA I ZAKŁAD NAKŁADOWY T. A., POZNAŃ

12.
22.3.63
A. 128/63
mf.

<http://rcin.org.pl/ifis>

*„Niema większej siły politycznej nad
systematyczną i zorganizowaną pracę
całego narodu.*

Harold H. Mac Gregor.“

POSTĘP A SZCZĘŚCIE.

Narodziny ideału. 1

<http://rcin.org.pl/ifis>

I.

Zdumiewający postęp techniczny, jaki dokonał się w ciągu XIX-go wieku, a który dzisiaj, wskutek dwóch epokowych wynalazków XX-go stulecia: telegrafu iskrowego i samolotu — otwiera przed ludzkością perspektywy coraz to nowych zdobyczy, przekształcających świat i udoskonalających życie ludzkie, stawia nas w obliczu całego szeregu niepokojących zagadnień.

Przytłumione przez wszechwładzę polityki, odsunięte na plan dalszy przez męczący, długotrwały proces likwidacji wielkiej wojny, coraz silniej jednak zastępują nam one drogę i narzucają się naszej uwadze.

Do zagadnień takich należy przedewszystkiem stosunek, zachodzący pomiędzy tem, co jest niewątpliwie chlubną zdobyczą geniuszu ludzkiego, wzbijającego się w przestwór i zwyciężającego przestrzeń, a tem, co nazywamy popularnie szczęściem człowieka na ziemi.

Pytanie, w jakim stopniu udoskonalenia techniczne, z którymi świat ma dzisiaj do czynienia, wpłynęły na zwiększenie szczęścia ludzkiego, domaga się natarczywej odpowiedzi. Ścierają się tu z sobą dwie opinje.

Jedni twierdzą, że maszyna, której królestwem jest dzisiaj świat, ujarzmiła człowieka współczesnego i trzyma go w niewoli stokroć gorszej, niż wszystkie niewole epok poprzednich, że, wymagając od niego bezwzględneho posłuszeństwa, zautomatyzowała go i zabiła w nim ducha. I ci wskazują na rzesze robotników w środowiskach wielkiego przemysłu, na ich życie bez słońca i powietrza i na słuszny ich bunt przeciw niedoli, będącej ich udziałem. Cała „kwestja społeczna“ z jej jątrzącemi się ciągle i niezagojonemi ranami, powstała — ich zdaniem — wskutek szalu produkcji, jaki ogarnął ludzkość od czasu wynalezienia maszyny parowej. Pierwsi zrozumieli to w swoim czasie czartyści angielscy. Dzisiejszy socjalizm i komunizm są tylko konsekwentnym rozwojem ich idei protestu przeciw maszynie, która proletarjatowi nowoczesnemu zgotowała los daleko gorszy od losu niewolników świata starożytnego. Arystoteles pomylił się, wieszcząc, iż nie

wolnictwo skończy się, skoro „czółenko tkackie zacznie biegać samo“. Przeciwnie, odkąd biega ono samo, niewola wzrasta i wzrastać będzie dalej, dopóki cały ustrój dzisiejszy nie zawali się lub nie zostanie zburzony przez tych, co nie zechcą dalej być niewolnikami maszyny.

I dlaczego — rozumują dalej przedstawiciele tych poglądów — nie miałyby to nastąpić jak najrychlej ku szczęściu szerokich mas?

Bo jakże nikłe i zdradne są ich korzyści z tego, co dały światu olbrzymie wynalazki i owe wspaniałe udoskonalenia, które od czasu do czasu wprowadzone w życie, wywołują przewroty wdanej gałęzi produkcji czy komunikacji?

Kto z tego korzysta? Garść ludzi uprzywilejowanych, tych samych ludzi, którym, dzięki ich przywilejom, było we wszystkich epokach ciepło, dostatnio i rozkosznie na świecie. Bo i czegoż brak było patrycjuszom rzymskim, rycerzom średniowiecza i renesansu, szlachcie XVII-go i XVIII-go wieków? Czasy dzisiejsze wytworzyły tylko jeszcze większy przedział pomiędzy warstwami, podsyciły płomienie zazdrości, która pożera warstwy nieposiadające, ucząc je zawiści i nienawiści. Dół społeczeństwa patrzy na życie u góry i nie może zrozumieć,

dlaczego dzieje się na świecie taka niesprawiedliwość, gdy w rozporządzeniu jednych znajduje się wszystko, w rozporządzeniu innych nie lub tylko okruchy, spadające z pańskiego stołu cywilizacji i kultury?

A do tłumu tak nastrojonego przychodzi agitator komunistyczny i mówi:

„Oto waszemi rękami wypracowana została wygoda i przepych burżuazji. Wprzęgnięto was w służbę maszyny i cóż. otrzymaliście za taką niewolę? Fałszywi nauczyciele mówią wam o postępie, o triumfach geniuszu ludzkiego, o coraz to nowych zdobyczach. Przyjrzyjcie się, jak te zdobycze wyglądają. Światło elektryczne płonie po kamienicach wielkomiejskich, a w chłopskiej chacie kopci mała lampka blaszana z knotem, zanurzoną w nafcie, której płomienia nie chroni nawet cylinder szklany. Budujecie domy o udoskonalonej wentylacji, skanalizowane, z centralnem ogrzewaniem i z mnóstwem nowoczesnych wygod, a sami mieszkacie w ponurych i ciemnych norach, które są zaprzeczeniem najelementarniejszych pojęć o zdrowiu. W starannie utrzymanem parku wśród zieleni drzew stoi przestronny dwór wiejski, a o kilkadziesiąt kroków od niego

służba folwarczna gnieździ się w czworakach na pół wałących się, obok których stajnia dla koni wygląda jak pałac. Dalej w ulicy wiejskiej, błotnistej i zaniedbanej, rzędem stanęły chałupy, kryte słomą, ciasne i małe, takie same dzisiaj, jak były przed wiekami, jeśli nie za Piasta-Kołodzieja, to za Kazimierza Wielkiego. A wam mówią, że postęp idzie szybkimi krokami naprzód, że dobrobyt ogólny podnosi się, że szczęście wasze wzrasta z każdym rokiem. Cieszcie się! Ludzkość posiada cały szereg nowych wynalazków, wspina się wytrwale po szczeblach cywilizacji coraz wyżej, grzmi coraz głośniejszym w róg swojej chwały.“

Wszystko to trafia do przekonania ludziom, których życie obraca się w sferze zaspokojenia ich potrzeb bezpośrednich, dla których osobista korzyść doraźna jest jedynym wskaźnikiem potrzeby i pożytku każdej rzeczy.

„Do diabła z takim postępem i z takimi zdobyczami cywilizacji“ powie sobie niejeden spropagowany w ten sposób dla komunizmu człowiek prosty i naiwnie uwierzy w raj na ziemi, istniejący, według zapewnienia agitatora, w ustroju sowieckim, który zburzył i zniszczył wszystko, co było w Rosji cywilizacją.

„Nie tędy droga“ pomyśli także niejeden pesymistycznie nastrojony inteligent, który w myśli swojej wypieścił marzenie o niezamąconem szczęściu milionów, a doznawszy zawodu w zetknięciu z rzeczywistością, ucieka od niej, twierdząc, że wszystko jest złudzeniem.

Złudzeniem według niego jest także postęp.

„Jeżeli ludzkość — rozumuje on — przez tysiącolecia swojego życia historycznego nie zdołała zapewnić sobie szczęścia, to znaczy, że cała jej cywilizacja i kultura oparte były na fałszywych założeniach. Jeżeli miliony ludzi na globie ziemskim żyją jeszcze dzisiaj w sposób zgoła pierwotny, niewiele różny od sposobu, w jaki żyli jaskiniowcy, z trudem zdobywający dla siebie żer, to iluż tysiącleci trzeba jeszcze na to, aby te miliony podnieść do poziomu, na jakim dzisiaj znajduje się elita europejska?“

I tu zadaje sobie pytanie, czy wogóle skórka warta jest wyprawy? Czy nie lepiej zrezygnować, nabić to wszystko w armatę i wystrzelić w przestwór. Tak rodzi się anarchja, zjawisko od czasów J. J. Rousseau'a w myśleniu każdego Europejczyka bardzo pospolite, acz nie zawsze noszące właściwe miano.

Odszukać je można wszędzie. W pesymistycznej filozofji XIX wieku i w literaturze pięknej, w nauce i w sztuce.

Tragiczne „po co?” zawisło nad ludzkością i jak tajemniczy, złowróźbny kruk z poematu Edgara Poe'go stuka w okno, przez które patrzemy na świat.

A tymczasem, niezależnie od tego, pracowite mrówisko ludzkie krząta się na całej kuli ziemskiej i dzień za dniem odbywa swój pochód ku nieznannej mecie.

I nie co innego tylko ten właśnie codzienny wysiłek ludzki jest postępem, czyli nieustannem ciąglem zdobywaniem tego, czego ludzkość jeszcze nie posiada i poznawaniem wartości, które już zdobyła.

Postęp — to nie teorja, którą można brać z tej czy z innej strony, uznawać lub kwestjonować, ale to rzecz sama w sobie, to praca, której suma zwiększa się na świecie nieustannie.

Idealem tak rozumianego postępu nie może być utopja, ludząca naiwne umysły „pieczonemi gołąbkami“ powszechnego szczęścia. Ma taki postęp cel przed sobą zupełnie realny: pracę i zespolenie wszystkich sił ludzkich w kie-

runku uczynienia życia lepszym moralnie i dogodniejszym fizycznie.

I tu przychodzi do głosu drugi odłam opinji. „Ludzkość — mówią przedstawiciele tego odłamu — kroczy po drodze swoich dziejów powoli. I inaczej być nie może, bo droga ta dotychczas jest wąska. Jesteśmy liczną armją w pochodzie. Gdy pierwsze jej szeregi są już na linii bojowej, dalsze odległe są od niej o całe kilometry, a jeszcze dalsze stanowią olbrzymie, niewyczerpane rezerwy. Dzisiaj na linii bojowej ludzkości stoi tylko jej elita. Masy ludowe przechodzą dopiero pierwsze ćwiczenia i nieprędko staną się armją, gotową do walki. Trzeba na to czekać, budując tymczasem i rozszerzając gościńce, po których z czasem te rezerwy doprowadzić będzie można na front. Wówczas zwycięstwo jest pewne.

Ci, którzy chcą je odnieść już dzisiaj, doraznie, wydzierając wszechświatowi całą jego tajemnicę, postępują jak prostacy, którzy mierzą pojęcie czasu i przestrzeni miarą swojego życia i słupami przebytej przez siebie drogi. Zapominają oni, że wieczność jest „jedną chwilką“ i że w jej obliczu tysiącoletnie dzieje cywilizacji ludzkiej są niczem, a w jej perspek-

tywach na przyszłość dzisiejszy stan ludzkości jest stanem niemowlęstwa, a z tego stanu wyrasta się nie odrazu.

Trzeba umieć być cierpliwym, a tej cierpliwości uczy praca. Ona także skraca czas i ona jedynie czyni człowieka szczęśliwym, dając mu rozkosz pokonywania przeszkód.

Ziemskie nasze szczęście zależy przeto przede wszystkim od pracy, a ziemska niedola od nieumiejętnego lub niedostatecznego jej wykonywania.

Przemawia za tem już sam fakt, że są na ziemi narody szczęśliwsze i mniej szczęśliwe. Pierwsze dopracowały się swojego szczęścia, jak Amerykanie, drugie muszą się go dopiero dopracować, jak my.

Gdybyśmy mogli z lotu ptaka spojrzeć na kulę ziemską i przyjrzeć się jej życiu w rozmaitych długościach i szerokościach geograficznych, zauważylibyśmy łatwo, jaka ogromna różnica zachodzi pomiędzy rozmaitemi punktami na ziemi w codziennym wysiłku ludzkim, a więc i w t. zw. postępie.

Postęp ten jest niesłychanie szybszy i większy w Ameryce niż w Europie, bo większy jest tam wysiłek, większa suma pracy ludzkiej. Dla-

tego każda zdobycz cywilizacji rozpowszechnia się tam prędzej, dlatego zdobycze te wchłaniają tam w siebie daleko szersze masy, niż u nas, dlatego samochód i telegraf iskrowy są już w Stanach Zjednoczonych dostępne pierwszy dla milionów a drugi dla dziesiątków tysięcy ludzi, a u nas należą jeszcze niemal do legend.

I na tem polega cały sekret postępu.

Z tego wynika także, iż nie ci są istotnymi bojownikami postępu, którzy dużo mówią o nim i uczynili sobie z niego hasło, lecz ci, którzy pracą i wysiłkiem swoim ten postęp realizują.“

II.

Jednym z największych nonsensów, wśród których żyjemy obecnie, jest szablonowy podział społeczeństwa na dwie przeciwstawiające się sobie grupy: na postępowców i wsteczników, inaczej na lewicę i prawicę.

Pogląd ten domaga się natarczywie rewizji, doprowadził nas on bowiem już do absurdu.

Tak np. „postępowcem“ mieni się agitator doktryny socjalistycznej czy komunistycznej, który staje przed tłumem i woła: „precz z religią! precz z rodziną! precz z moralnością burżuazyjną! precz z obecnym ustrojem, opartym na prawie własności! precz z kapitalizmem, wysysającym krew ludu roboczego! precz ze wszystkim, co krępuje swobodę człowieka! Niech żyje dyktatura proletariatu!“

Do czego taki „postęp“ doprowadził i co to jest dyktatura proletariatu, przekonaliśmy się na Rosji. Nigdy świat nie miał jaskrawszego przykładu „wolności“, która zrodziła niewolę,

bowiem wyzwolenie człowieka z krępujących go zasad religji, moralności i ustroju społecznego, dając mu pozorną swobodę myśli i poczynań indywidualnych w zakresie życia wewnętrznego, nie tylko go nie uszczęśliwiło, ale uczyniło tak dalece bezradnym i niedołęznym w opanowaniu warunków życia zewnętrznego, że podał on dobrowolnie szyję w jarzmo niewoli komunistycznej, stokroć gorszej, niż wszystkie formy ucisku dotychczasowego.

Żadne absolutyzmy, żadne państwa policyjne, z którymi w dziejach mieliśmy do czynienia, nie posunęły się tak daleko w dziedzinie braku tolerancji dla przekonań odmiennych, jak to uczynił bolszewizm.

Nigdy i nigdzie, w najkrwawszych rewolucjach, przez jakie przechodziły państwa zachodnie, nie szalał taki terror, jakiego widownią jest rosyjska federacyjno-socjalistyczna republika. Krewp łynęła obfitem strumieniem w Anglii za Cromwell'a, we Francji w roku 1793, porównać tego jednak nie można z bestjalstwem czerezwyczajki.

Wszędzie i zawsze z pod gruzów wyłaniały się jakieś konstrukcje, przychodził moment opamiętania się i zwycięstwa pierwiastków ro-

zumu nad szaleństwem, prawa nad bezprawiem, w jednej Rosji w imię „wolności i szczęścia ludu“ powstała ruina i pustka cmentarna, w której życie zamarło.

Tak pojęty „postęp“ bolszewicki doprowadził do zastoju i uwstecznienia kraju, który, będąc jednym z najbogatszych w Europie i posiadając wszystkie warunki do rozwoju, popadł na długie lata w bezwład, z którego o własnych siłach nie powstanie.

A jednak bolszewicy byli „najpostępowszym“ odłamem rewolucyjnego socjalizmu rosyjskiego. Uważali się za sól postępu nowoczesnego, za jego kwintesencję i marzyli o stworzeniu rajy na ziemi. Takich „postępowców“, którzy z hasłem wszechwładzy ludu czyli z hasłem anarchji idą pomiędzy ciemne masy, nie brak i u nas. Rozglądając się w obecnym układzie sił politycznych w społeczeństwie polskim, bez trudu możemy stwierdzić, że stoimy w obliczu wyraźnego dziwołaga.

Oto w obozie lewicy, czyli w obozie postępowym, widzimy najmniej oświecone, a przez to samo najwsteczniejsze warstwy narodu, natomiast inteligencja narodu w ogromnej swojej większości zaliczona została do prawicy burżu-

azyjnej i piętnowana jest stale na wszystkich wiecach i zgromadzeniach politycznych za swoje „wsteczństwo“.

Wystarczy, jeżeli się nie stoi na stanowisku klasowem, aby uzyskać piętno wstecznika.

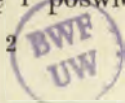
W ten sposób „postępowcami“ są u nas analfabeci, idący ławą pod czerwonym sztandarem, robotnicy, nie mający pojęcia o ustroju gospodarczym kraju i o jego zdolności produkcyjnej, chłopci, których pojemność umysłowa nie wystarcza nawet na objęcie własnego powiatu, ba! nawet ortodoksi żydowscy, którzy w czarnej swojej masie są najkonserwatywniejszym, najbardziej zaskorupiałym żywiołem na świecie.

W przeciwstawieniu do tej „postępowej“ masy wstecznikiem i zniechęconym sługą burżuazji jest profesor uniwersytetu, który w ciężkich warunkach materialnych całe swoje życie poświęca badaniom naukowym, pisarz, który w trosce o całość narodu i o siłę państwa nie schlebia poszczególnym warstwom, ale żąda podporządkowania wszystkich warstw interesom narodu i państwa, wojskowy, który w imię karności armji narodowej wymaga posłuszeństwa od swoich podwładnych i obowiąz-

zek swój rozumie, jako służbę narodowi, a nie partji politycznej, artysta, który tworzy dzieło sztuki nie z myślą o proletarjacie, lecz z myślą o pięknie wielkiem i nieśmiertelnem, ziemianin, który, stosując metody naukowe do uprawy ziemi, podnosi w dwójnasób jej wydajność, technik, który udoskonala maszyny, a tem samem pomnaża produkcję, przemysłowiec, z którego inicjatywy powstaje nowa gałąź przemysłu, kupiec, którego rzutkość i przedsiębiorczość zdobywa nowe rynki zbytu, marynarz, który banderę polską prowadzi do obcych portów, nauczyciel, który nawołuje do oświaty, a w pracy swojej nie jest sługą partji i nie jedna jej zwolenników, kapłan, który głosi z kazalnicy naukę Chrystusa i uczy „kochać bliźniego, jak siebie samego“, zamiast rzucać w tłum hasła nienawiści dla „burżujów“ i „obszarników“, robotnik, który nie chce strajkować bez powodu i. t. d.

Od tych „wsteczników“ roi się w społeczeństwie i — o dziwo! — na nich właśnie to społeczeństwo stoi, oni wytwarzają jego dobrobyt, jego naukę, jego sztukę i literaturę.

Ich troskę, pracę i wysiłek, inicjatywę, a nieraz ofiarę i poświęcenie znać wszędzie.



Niema ani jednej dziedziny życia, w której to właśnie „wstecznicstwo“ nie zaznaczyłoby się pozytywnem czynem. Gdy z tamtej strony jest tylko negacja, tylko protest jałowy i chęć burzenia, tu skupiły się twórcze siły narodu i jeżeli pomimo wszystko, pomimo skutki wiekowej niewoli, w Polsce istnieje jakiś postęp, jeżeli naród kroczy naprzód, jeżeli warstwy: robotnicza i włościańska podnoszą się wyżej i w najlepszych swoich przedstawicielach dorastają powoli do objęcia całości interesów narodu i państwa, to zawdzięczać to należy z pewnością nie agitatorom, którzy z żagwią walki klasowej idą pomiędzy lud, ale tym bezimiennym i niewidocznym pracownikom, z których żaden nie zdobył w społeczeństwie tak głośnego imienia, jak Kwapiński lub Dąbal, ale z których niejedno całe życie swoje oddał ludowi.

Cofnijmy się w przeszłość, do tych lat, kiedy życie nasze kryło się jeszcze w katakumbach, a na jego powierzchni nie było ani płatnych agitatorów przewrotu, ani sprytnych karierowiczów politycznych, uprawiających dzisiaj przemysł poselski. Odwróćmy oczy od tych uwodzicieli tłumu, a przypomnijmy sobie tę codzienną, niewidoczną pracę, która niepostrzeżenie przy-

gotowała niepodległość Polski, która była istotną dźwignią jej niezaprzeczonego postępu w dziedzinie uświadomienia narodowego i społecznego.

Kto pracował wówczas? Kto narażał wolność osobistą i skazywał się dobrowolnie na życie tropionego zwierza, byle spełnić swój obowiązek, płynący z głębokiego przeświadczenia o potrzebie pracy i poświęcenia na rzecz jutra?

Skąd brały się te „kamienie, przez Boga rzucane na szaniec“, których w żadnym nie zabrakło pokoleniu?

O ileż większymi bojownikami postępu od dzisiejszych jego apostołów byli przedstawiciele tej właśnie inteligencji polskiej, która stoi dzisiaj pod zarzutem wstecznictwa i wyklinana jest publicznie za swoje narodowe ideały, za dążenie do ładu i porządku, za piętnowanie rozstroju i lenistwa, za wysuwanie na czoło postulatu pracy i wysiłku powszechnego, oszczędności i przeczności? Zaiste, daleko więcej uczyniła dla „postępu“ owa tajna nauczycielka z okresu ucisku rusyfikacyjnego, biegająca w wytartej sukience z domu do domu, z kompletu na komplet, niż czynią to dzisiaj wszyscy w czambuł

wzięci głosiciele „praw ludu“ i rządów „robotniczo-włściańskich“.

Ona, dziecko burżuazji warszawskiej, niepraktyczna idealistka o typie Joasi z „Ludzi bezdomnych“, zapatrzona w daleką gwiazdę jutra narodowego, bez myśli o sobie, bez troski o siebie, niosła płomień swojej młodzieńczej duszy pomiędzy dzieci proletariatu i, ucząc je tylko czytać i pisać, wprowadzała je niepostrzeżenie do tego wyższego kręgu światła, które jest początkiem narodzin człowieka, a więc Polaka i obywatela.

A dzisiaj? Kto dba o „człowieka“, o jego ludzkie, polskie i obywatelskie dostojeństwo, o jego myśl czystą, niezabrukaną sobkostwem materialnym? Lewica idzie pomiędzy lud z hasłem postępu. Obiecuje dużo. Obiecuje więcej, niż może spełnić. Wie, że *mundus vult decipi*. Ściąga więc pod swoje chorągwie ciemne masy i operuje fikcją woli ludu, woli zbiorowej tych mas, złożonych z jednostek nieuświadomionych, niedorosłych do zrozumienia, a cóż dopiero do podjęcia najelementarniejszych zadań państwowo-twórczych. Masa jest wszystkim. W imię demokracji powołuje się ją do rozstrzygnięcia w najważniejszych kwestjach,

w imię demokracji wmawia się w nią rozum, którego nie posiada i posiadać nie może. A w zamian za posłuszeństwo, za karność, która jest tylko biernością, opowiada się tym masom bajkę o powszechnej szczęśliwości, o socjalistycznym i komunistycznym rajku na ziemi, który doraźnie wszystkie wilki przedzierzgnie w jagnięta, nakarmi i napoi miliony i pozwoli im używać życia bez troski.

Tak „postęp“ operuje pojęciem szczęścia i dlatego tłumy, którym wrodzony jest popęd do szczęścia, bo któżby go nie pragnął dla siebie i dla innych, garną się ku lewicy, obwieszczającej zbliżanie się godziny nasycenia dla wszystkich.

Jakże wobec tego wygląda postęp istotny, rzetelny, który nie ludzi nikogo, nie okłamuje i nie tai, że życie jest nieustanną walką człowieka z przyrodą, że ścierają się i wyczerpują w tej walce siły ludzkie i że zwycięża w niej ten, kto jest lepiej do niej przygotowany, kto wie i umie więcej, że przeto bez oświaty i bez pracy, w której człowiek się doskonali i wyzwala całkowitą swoją energję, niema rzeczywistego postępu.

Jakże wygląda ten postęp, który twierdzi, że do szczęścia dochodzi się nie przez nienawiść,

ale przez miłość, że godzinę jego przybliża nie wola i tęsknota tłumów, ale genjusz jednostek, które wydzierają przyrodzie jej tajemnice, że każda nowa prawda, wykryta w pracowni uczonego, ma dla przyszłości świata i ludzkości znaczenie daleko większe i donioślejsze niż wszystkie hasła wiecowe, że ta fala elektryczna, która bez przewodnika przebiega tysiące mil i zwycięża przestrzeń, że ten latawiec, który wzbija się pod niebo i przebiega 180 klm. na godzinę, że te właśnie tysiączne wielkie i drobne wynalazki, z których tłum pozornie nie korzysta wcale, stanowią więcej o jego szczęściu, niż wszystkie kawiarniane rozmowy politykujących „postępowców“.

III.

Z pomiędzy milionów — milionów ludzi, którzy uparcie i od wieków dążą do szczęścia, nikt jeszcze nie odpowiedział wyraźnie na pytanie, co to jest szczęście?

Jako stan podmiotowy, wymyka się ono z pod ujęcia przedmiotowego, nie daje się określić, jako coś istniejącego po za nami, a w nas samych zmienia się nieustannie, zależnie od pozytywnych lub negatywnych toków, przepływających przez naszą duszę.

Według słynnej bajki arabskiej „najszcześliwszym“ okazał się ów biedak, który nie posiadał nawet koszuli na grzbiecie i nie pragnął jej posiadać.

Był on jednocześnie głębokim filozofem, który dojść musiał do wniosku, że szczęście, ściśle rzecz biorąc, to równowaga matematyczna pomiędzy pożądaniem a zaspokojeniem.

Równowaga taka istnieć jednak może tylko w teorji. W praktyce trwa ona tak krótko, że

najczęściej nie widzimy i nie dostrzegamy jej wcale, natura bowiem ludzka jest taka, że natychmiast po zaspokojeniu jednego pragnienia w duszy naszej rodzi się i rozwija pragnienie nowe i tak bez końca. Dlatego niema na świecie ludzi „szczęśliwych“, to znaczy, nie pragnących więcej ponad to, co osiągnęli, żyjących w zadowoleniu, bez nowych pożądań.

Gdybyśmy chcieli wyobrazić sobie możliwość takiego szczęścia na ziemi dla wszystkich, to doszlibyśmy prostą drogą do zaprzeczenia życia.

Powiedzmy sobie tylko na chwilę, że możliwy jest stały stan szczęścia dla jednostki, innemi słowy stała, nie ulegająca wahaniom, równowaga pomiędzy jej pożądaniem a zaspokojeniami.

Idąc konsekwentnie po linii logicznego rozumowania, zatrzymamy się na momencie śmierci, wówczas bowiem tylko zapanowuje owa idealna równowaga: ostatnie pożądanie gaśnie wraz z gasnącą doczesną świadomością jednostki, a nowe pożądanie już w tej świadomości nie powstaje.

To samo daje się rozszerzyć i na społeczeństwo. Osiągając idealny stan równowagi

pomiędzy swojemi pożądaniami a ich zaspokojeniami, przestałoby ono żyć. Zmartwiałoby i skostniało, objęte chłodem nieuniknionej śmierci.

Dlatego „postęp“, który z istoty swojej jest ruchem i życiem, przeczy życiu, a wraz i samemu sobie, opowiadając tłumom bajkę o szczęściu powszechnem.

Takie szczęście niemożliwe jest do osiągnięcia i mieścić się ono może tylko w bardzo naiwnym, albo w rozmyślnie fałszującym prawdę umyśle. Natomiast możliwe i osiągalne są stany przemijającego zadowolenia, które jednak zaraz rodzą nowe pożądaniam, a więc wymagają nowych wysiłków w kierunku ulepszenia życia społecznego. Na ciągłym następstwie tych wysiłków polega też postęp ludzkości.

Siłą wyobraźni nie można go urzeczywistnić. Tworzyć go może tylko energja woli, tylko nieustanne zmaganie się tej woli z przeciwnościami, których przyroda nam nie skąpi.

Walka człowieka z przyrodą jest walką na śmierć i życie, prowadzoną od początku istnienia rodzaju ludzkiego na ziemi. Jedna chwila omdlenia, wypoczynku i rozbrojenia, a człowiek padnie pokonany. Natura nie da mu już dachu

nad głową, nie nakarmi go i nie ogrzeje. To, co wystarczało dzikim naszym praojcom, nam już nie wystarczy. Musimy wydzierać wszystko ziemi krwawym trudem, aby zaspokoić swoje najpierwsze potrzeby, a jeśli jej tego, co nam potrzebne, nie wydrzemy, to ona weźmie górę nad nami i zniweczy nas, używając za substrat dla innego, bujniejszego i silniejszego życia.

Przestańmy tylko jednej jesieni uprawiać starannie i obsiewać nasze pola, a na wiosnę zobaczymy już bujny chwast, porastający wczorajsze zagony. Przestańmy tylko na jakiś czas wydobywać węgiel, a martwa cisza i śmiertelny chłód obejmą cały świat cywilizowany. Staną koleje, zatrzymają się okręty, zamrą fabryki, zimno wędrze się do naszych domów, skostniejemy na mrozie i wichrach naszego północnego klimatu itd. W każdej dziedzinie życia mamy więc do wykonania codzienną pracę, bez której to życie byłoby niemożliwe.

A jeżeli nie tylko istnieje ono na ziemi, ale rozwija się i doskonali, jeżeli przy nieustającym liczebnym wzroście ludzkości wystarcza, choć nie w równej mierze ale dla wszystkich, żywności, odzienia, opału i światła, to jest to niezaprzeczony dowód odniesz-

nego dotychczas przez człowieka zwycięstwa nad naturą.

Zwycięstwo to zaś ułatwia nam ów postęp techniczny, z którego pozornie biedni ludzie nie korzystają bezpośrednio, z którego jednak pośrednio wynika dla nich możliwość istnienia na ziemi, boć i oni są częścią ludzkości, a ludzkość nie mogłaby już istnieć bez tych zdobyczy, które ją wyprowadziły z okresu dzikości, a wprowadziły do okresu cywilizacji.

Cywilizacja nie dała światu szczęścia — mówią pesymiści. To prawda. Ale dała ona człowiekowi warunki, w których szczęście osiągnąć jest znacznie łatwiej, niż było to dawniej, i nie jej winę stanowi, że nie umieliśmy tych warunków odpowiednio wyzyskać, że człowiek, pomimo pokostu cywilizacyjnego, pozostał w rdzeniu swoim barbarzyńcą, że rozwój jego moralny nie odbywa się tak szybko, jak szybko idzie naprzód przodujący ludzkości intelekt.

Działacz społeczny ma słuszość, załamując ręce nad stanem obecnym Europy, piętnując upośledzenie jednych, a nadmiar u innych warstw społecznych, nie ma jednak słuszości, jeżeli chce prowadzić ludzkość do szczęścia przez ukazywanie tłumom mirażu tego szczęścia.

Przeciwnie. Powinien mieć odwagę powiedzenia swoim słuchaczom prawdy, rozwiewającej wszelkie złudzenia, a opartej na głębokiem i jedynie słusznem przeświadczeniu, że szczęście polega nie na wyobrażeniu, ale na czynach, że osiąga się je nie za pomocą czarnoksięstwa, ale jedynie przez nieustanne doskonalenie swojego życia wewnętrznego i zewnętrznego.

Na tem samem polega także i postęp i dlatego postęp i szczęście wiążą się z sobą istotnie, ale nie tym węzłem, o którym mówi socjalizm i komunizm, lecz, jak to już zaznaczyliśmy wyżej, węzłem pracy i wysiłku.

Tylko praca i wysiłek gwarantują nam, że utrzymamy się przy życiu w naszej nierównej walce z przyrodą, to znaczy, że przeciwko niszczącym siłom tej przyrody potrafimy się coraz lepiej uzbrajać — i to jest postęp.

A dalej tylko praca i wysiłek zapewniają nam możliwość zaspokajania naszych pragnień fizycznych i duchowych, a więc osiągnięcie momentów zadowolenia — i to jest szczęście.

W miarę tedy zwiększania się sumy pracy i wysiłku ludzkiego, zwiększa się także suma szczęścia na ziemi.

Innej drogi do niego niema i nigdy nie będzie.

Uczciwi przeto apostołowie szczęścia, zamiast podniecać wyobraźnię mas widokiem suto zastawionych stołów i kusić je (w imię postępu!) obietnicą miejsca „dla wszystkich“ przy tych stołach, powinni raczej budzić w tych masach świadomość, że dzisiejszy brak szczęścia na świecie jest przedewszystkiem wynikiem niedostatecznej pracy i wysiłku ludzkości, oraz niedostatecznego jej uzbrojenia w walce o zdobywanie sobie momentów szczęścia. Po tych momentach następować jednak musi znów praca i znów wysiłek dla osiągnięcia nowych zdobyczy.

Takie jest prawo, które rządzi nami.

Ktokolwiek więc mówi lub czyni wbrew temu prawu, nie udostępnia ludziom szczęścia, lecz odsuwa je od nich, niszcząc w nich zdolność radosnego odczuwania momentów zaspokojeń.

A momenty takie posiada w życiu swoim każdy człowiek, tem częstsze, im mniejsza jest skala jego pożądań.

„Nieszczęśliwy“ proletarjusz, któremu prawi się dzisiaj bez ustanku o jego upośledzeniu i parjasostwie społecznem, w istocie ma da-

leko więcej szans do przeżywania momentów szczęścia, niż uczoney, dla którego sprawa jada, napoju i odzienia jest sprawą drugorzędną, bo jego pożądanja idą znacznie wyżej, bo mocuje się on nieraz tragicznie z otaczającą go tajemnicą, bo łaknie prawdy a dotrzeć do niej nie może, bo, jeżeli cierpi, to cierpi nie tylko za siebie, ale za całą swoją społeczność, za całą, nie znającą swoich dróg ani celu ostatecznego ludzkość.

Podniecony aż do rozbewstwienia przez swoich „postępowych“ prowodyrów proletarjat rosyjski zniszczył trzy czwarte inteligencji rosyjskiej, wymordował najlepszy i najwyższy gatunek ludzi swojej krwi i języka, a resztę swoich uczonych i profesorów skazuje dzisiaj na banicję, na wygnanie i tułactwo po obcych krajach — i oto nagle znalazł się w mroku, jak stacja kolejowa, na której pogaszono wszystkie światła i sygnały. Wśród tego mroku słyhać tylko jęk, wydobywający się z pod rumowisk i gruzów rozbitego państwa, które wyskoczyło z szyn, wprowadzone przez oszalałego maszynistę na ciemną stację „bolszewizmu“.

A tymczasem „reakcyjny“ i „burżuazyjny“ zachód, który oparł się mrzonce o „szczę-

ściu powszechnem" i nie przestał ani na chwilę pracować, lecz się z ran, odniesionych podczas wojny i kroczy naprzód.

Zdumiewający jest wysiłek okrwawionej i zniszczonej Francji. Niemniej zdumiewający jest wysiłek Niemiec, których ekspansja ekonomiczna wzrasta z dnia na dzień. Ale i tam i tu „postęp“ nie jest rozumiany, jako hasło przewrotu, ale jako realna praca, zmierzająca do odrobienia tego, co odrobić trzeba.

Zgoła, niestety, przeciwnie jest u nas. Nasz rodzimy, polski „postęp“ wymachuje czerwoną chorągwią i plecie tłumom duby smalone, na wzór bolszewicki, o „reakcyjnej burżuazji“, o szlachcie i księżach, którzy dążą do przywrócenia pańszczyzny, o fabrykantach, którzy tuczą się krwią i potem robotniczym itp., itp.

W atmosferze takich nonsensów wychowuje się dzisiaj nasz wielkemiejski i wiejski proletarij.

Nietrudno przewidzieć, do jakich doprowadzi to wyników, jeżeli „postęp“ i „wsteczność“ nie ulegną, jako pojęcia, rewizji, jeżeli lud nasz nadal będzie brał za dobrą monetę to, co słyszy na wiecach przedwyborczych z ust

prowordyrów lewicy, jeżeli nikt mu nie wytłumaczy, że prawdziwy postęp — to nie czcza gadanina, ale praca, praca i jeszcze raz praca, a prawdziwe szczęście to zadowolenie z już osiągniętych zdobyczy i dążenie do nowych, coraz to wyższych celów.

IV.

Ilość bogactw naturalnych ziemi jest ograniczona, wystarczy ich jednak nie tylko dla ludzkości współczesnej, lecz i dla długiego łańcucha pokoleń następnych. Wystarczy zaś tem łatwiej i na tem dłużej, im szybszemi krokami iść będzie naprzód nauka, przysparzając człowiekowi przyszłości coraz to nowych środków do walki z przyrodą.

Walka ta, stając się coraz cięższą z powodu rosnących potrzeb człowieka cywilizowanego i zwiększającej się liczby ludzi na świecie, jednocześnie staje się coraz łatwiejszą, dzięki wynalazkom, których dokonał geniusz ludzki. I tylko dzięki temu.

Bez tych wynalazków nie umielibyśmy już dzisiaj zabezpieczyć sobie życia. Ludzkość bez maszyny parowej, bez motoru benzynowego i bez prądu elektrycznego popadłaby w stan takiego uwstecznienia i zastoju, że byłoby to równoznaczne z powrotem jej do barbarzyństwa. Nadto połowa jej zginęłaby z głodu.

Przedewszystkiem wymarłaby ludność wielkich miast, żyjąca dzisiaj tem, co dla nasycenia milionów żołądków dowożą codziennie koleje i okręty ze wszystkich stron świata, do skupisk takich, jak Londyn, Paryż, Berlin, Wiedeń, Warszawa.

Przykład miast rosyjskich, które wskutek stopniowego paraliżu linii komunikacyjnych popadły w powolną agonję, dowodzi bardzo wymownie, czem jest dla ludności miejskiej, a więc zarówno dla burżuazji, skazanej na wyćpienie, jak i dla mającego w ustroju sowieckim prawo do życia proletariatu, kolej żelazna i samochód ciężarowy.

Szybkość i łatwość komunikacji jest tedy najpierwszym dzisiaj warunkiem istnienia dla milionów ludzi. W ślad za tem iść dopiero może normalny rozwój innych dziedzin życia.

Jak ściśle kultura i dobrobyt danego kraju zależą od stanu komunikacji tamże, o tem przekonać się łatwo, spojrzawszy na mapę Europy. Gęstą siecią linii kolejowych przecięte państwa są przodującymi w Europie państwami, jak Belgja, Niemcy, Francja, Anglja. Naodwrot, tam gdzie, jak w Rosji i w Polsce, ogromne przestrzenie są jeszcze pozbawione

komunikacji kolejowej, kultura i dobrobyt stoją bezporównania niżej. Ta sama różnica jest i w innych dziedzinach życia, zależnie od umiejętnego w nich wyzyskania zdobyczy geniuszu ludzkiego i pracy, włożonej w to wyzyskanie.

Tam, gdzie elektryczność, jako siła popędowa i świetlna, została zastosowana szerzej, bardzo szybko podniósł się przemysł, a więc i dobrobyt szerokich mas ludności.

Wyobraźmy sobie, jaki przewrót nastąpiłby u nas, gdyby elektryfikacja kraju szybkimi krokami poszła naprzód, to znaczy, gdyby każda wieś polska mogła korzystać ze światła i z silników elektrycznych.

Ileż powstałoby tam nowych warsztatów pracy? Dzisiaj, w ciągu zimy, włościanin polski traci nieskończone mnóstwo godzin wskutek braku światła. Długie wieczory tej pory roku przepadają dla niego bezpowrotnie. Próżnują mężczyźni, kobiety i młodzież. Można o wsi polskiej powiedzieć, że dosłownie przesypia ona zimę w półmrocznej izbie, gdzie ledwie blask od komina pełga po ścianach lub kopci mała lampka. Kto wie, czy nie lepiej nawet było w czasach, kiedy płonęło tam wesoło trzaskające lu-

czywo, a przy niem żwawo furkotały kołowrotki?

Nie jest też zgola dziwną rzeczą, że wszystkie usiłowania w kierunku obudzenia drobnego przemysłu ludowego idą u nas bardzo ciężko. Rozbijają się one o brak światła, tylko bowiem w dobrze oświetlonej izbie można pracować. Wskutek tego ogromna gałąź produkcji, od której rozwoju zawisł dobrobyt naszego ludu, leży dotychczas w Polsce odłogiem.

Zazdrosnem okiem możemy spoglądać na kraje, gdzie elektryczność przestała być już oddawna zjawiskiem, wobec którego mieszkańiec wsi szeroko otwiera oczy.

Na krańcach Szwecji i Norwegji, w małych wioskach, leżących nad brzegiem oceanu Lodowatego, nie tylko domki rybackie oświetlone są elektrycznością, ale całe wybrzeże korzysta z obsługi telefonicznej. Ludność rybacka informowana jest stale przez telefon o tem, gdzie i jakie zjawiły się ryby, kiedy wyjechać na ich połów, jaka spodziewana jest pogoda itp.

Wszystko to są informacje dla rybaka cenne, które ułatwiają mu pracę i powiększają przez to jego dochody.

A u nas jak daleko do tego, jak pierwotne panują dotychczas stosunki już nie na wsi, ale tuż za rogatkami Warszawy, na jej przedmieściach?

Jak wygląda nasz Czerniaków, Wilanów, Powsinek itp. miejscowości, leżące w najbliższym sąsiedztwie stolicy państwa?

Zupełnie słuszne jest też zdziwienie cudzoziemca, który przyjeżdża do nas, rozgląda się uważnie dokoła siebie i, podsumowując swoje wrażenia, wygłasza zdanie, że Polska jest krajem zacofanym, że, w rozwoju swoim cywilizacyjnym znacznie opóźniona, pozostała o całe stulecie w tyle po za innymi krajami zachodnioeuropejskimi.

Nie obronimy się przed jego wyrokiem tem, że nasza konstytucja jest „najpostępowszą“ dzisiaj konstytucją, że nasze partje lewicowe od rana do wieczora wygłaszają hasła postępowe, że chcą mieć rząd, złożony z włościan i robotników, a więc „demokratyczniejszy“ od wszystkich rządów w Europie itp.

Żaden prawdziwy Europejczyk nie rozumie takiego „postępu.“

Uważa on, że „postęp“ to dobre drogi, po których może jechać samochód z normalną

szybkością i bez narażenia się na pęknięcie opon co kilkadziesiąt kilometrów, to schludne hotele, dobrze zabudowane miasta i wsi, zaopatrzone w wodę do picia, połączone ze światem za pomocą poczty, telegrafu i telefonu, to gęsto rozsiane po kraju szkoły, to brak w tym kraju analfabetów, to rozwój należyty prasy i czytelnictwa książek, które rozchodzą się nie w jednym lub dwóch, ale w stu i więcej tysiącach egzemplarzy, to dalej należyta uprawa roli przy zastosowaniu nawozów sztucznych i podniesieniu wydajności każdego hektara ziemi, to brak nieużytków, dobra gospodarka leśna, staranna hodowla inwentarza, to zgodnie z potrzebami kraju rozwijający się przemysł przetwórczy, to ożywiony handel wewnętrzny i zewnętrzny, to uczciwość mieszkańców, na których słowie i zobowiązaniu można polegać, to dotrzymywanie terminów, bezpieczeństwo mienia i życia na drogach publicznych i w mieszkaniu prywatnym itd. itd., słowem to wszystko, co znamionuje istotną cywilizację i kulturę, a co jest już udziałem niejednego znacznie mniejszego i uboższego od Polski kraju, jak Szwecja, Danja, Finlandja.

To wszystko jednak nigdzie nie spadło, jak manna z nieba. Nie spadnie także i u nas. Nie

wyczarują tego żadne hasła, pięcioprzymiotnikowe głosowania, żadne sejmy, złożone z najbardziej „postępowych“ analfabetów.

To trzeba zdobywać nieustanną pracą, ciągłym wysiłkiem i ciągłym budzeniem w sobie woli dorównania innym.

Bez tej woli, bez tej pracy i bez tego wysiłku nie stanie się żaden cud przeistoczenia, jak nie stał się dotychczas.

Polska będzie zawsze krajem uwstecznionym, choćby jej sejmy uchwały nie wiem jak postępowe ustawy i prawa, a nasza „lewica postępową“ objęła rządy i otrzymała od biernej masy *carte blanche* na wszystkie eksperymenty społeczne i polityczne, do których tak tęskni.

Dzisiaj, wśród wszystkich, głoszonych przez nią fałszów i kłamstw o „uszcześliwieniu“ ludu, jest jedna tylko prawda niewątpliwa. Polega ona na tem, że przyszłość nasza istotnie jest w rękach „robotnika i chłopa“, ale w rękach takiego robotnika i takiego chłopa, który, mając świadomość potęgi, jaką stanowi w narodzie, będzie miał jednocześnie silne poczucie obowiązku budowania Ojczyzny swoją pracą i przeświadczenie, że „postęp“ tej Ojczyzny to nic innego, tylko, jak już mówiliśmy wyżej, owoce tej pracy.

Po tych owocach tylko poznają nas inne narody i wartość naszą w gronie swoim oceniają. Po tych owocach także my poznamy samych siebie i nabierzemy szacunku dla siebie. Przystaniemy zazdrościć innym, że są „szczęśliwsi“ od nas, a zaczniemy tworzyć swoje własne szczęście, oparte o dobrobyt i oświatę szerokich mas, które rozumieją, że powaga życia wymaga od nich takiego samego wysiłku i poświęcenia, z jakim pracuje uczony w swoim laboratorium, takiego samego poczucia odpowiedzialności za pracę, jaką posiada wykształcony zawodowo inteligent — inżynier, lekarz, kapitan okrętu itd.

Wówczas nikt w imię „postępu“ nie będzie głosił hasła rozłamów pomiędzy „ludem pracującym“ a pracującą „inteligencją burżuazyjną“, nikt nie będzie siał waśni klasowych i wzywał jednych do walki przeciwko drugim, bo masy rozumieją, że muszą mieć przewodników nie z pośród tych, co najgłośniej krzyczą, ale z pośród tych, co swoją myślą i pracą czynią życie naprawdę lepszym i dogodniejszym dla wszystkich.

Ludzkość ma dzisiaj w swoim rozporządzeniu wiele zdobyczy cennych, a będzie ich miała jeszcze więcej. Genjusz ludzki, który już

tyle sił przyrody zaprzął do pracy, który już dzisiaj marzy o tem, aby ściągnąć z powietrza elektryczność do akumulatorów bez dynamo-maszyny, który widzi możliwość wyzyskania rytmicznego ruchu fali morskiej, który pokonał przestrzeń i sprawił, że, posługując się telegrafem iskrowym, możemy być w stałej komunikacji z całą kulą ziemską, nie wyłączając okrętu, który znajduje się na bezmiarach oceanu, że, wznosząc się w przestwór na latawcu, zatracamy świadomość naszego związanania na życie i śmierć z ziemią, ten genjusz wiecznie czynny, niespokojny, zazdroszczący wszechświatowi jego tajemnic, nie ustanie w dążeniu swoim naprzód.

Wszystko, co zdobył i wszystko co zdobędzie, jest do przyswojenia, do objęcia w posiadanie przez każdy naród, który wyęży swoje siły w tym kierunku i włoży swoją pracę w urzeczywistnienie swoich marzeń o szczęściu.

Tylko takie narody „postępują“. Inne, mimo haseł „postępu“ stoją w miejscu lub cofają się, grozi im zastój cywilizacyjny lub powrót do barbarzyństwa.

Trzeba o tem pamiętać i trzeba to masom mówić uczciwie i prosto.

V.

Rzeczywisty postęp nie ma nic wspólnego z frazesem demagogicznym, który rozlega się dzisiaj tak głośno i tak powszechnie, jakby na stwierdzenie przysłowia, że „krowa, która dużo ryczy, mało mleka daje“.

Polska pomimo hasel postępu, pomimo, iż jej rząd, sejm i znaczna część społeczeństwa stoją pod znakiem skrajnych doktryn postępowych, jest krajem pod względem swojej cywilizacji i kultury uwstecznionym. Pochód jej naprzód, w porównaniu z innymi krajami Zachodu europejskiego, odbywa się bardzo powoli.

Cóż go tak hamuje?

Czy rzeczywiście „reakcyjny“ nastrój prawicy, która, jak to już mówiliśmy, liczy wśród siebie całą elitę intelektualną narodu, a więc ludzi o najsubtelniejszym uczuciu i najbystrzejszym sądzie, orientujących się w złożonych zagadnieniach życia współczesnego nieskończenie łatwiej od niewykształconych, na pół jeszcze

ciemnych i myślących pierwotnymi kategorjami mas „postępowych“?

Bynajmniej.

Przyczyna uwstecznienia Polski leży gdzie indziej. Przedewszystkiem szukać jej należy w tej głębokiej różnicy, w tym przepaściстым niemal przedziale, który istnieje u nas pomiędzy górą a dołem społeczeństwa. Dopóki przedział ten będzie istniał, dopóki oświata nie zatoczy szerszych kręgów i nie ogarnie włościan i robotników, czyniąc ich świadomymi współtwórcami państwowego, narodowego i społecznego życia polskiego, dopóty będziemy zawsze w nieporozumieniu z „postępem“. Anektować go będzie na swoją rzecz demagogja, pracująca w istocie na rzecz nieuniknionego jej wyniku — reakcji. Reakcja ta będzie z czasem tem większa, im wyżej podniesie się fala demagogiczna, im więcej zerwie ona stawideł zdrowego rozsądku, im szersze pójdą na jej pasku masy do złudnego gmachu „szczęścia powszechnego“.

I tu dochodzimy do rdzenia obchodzącej nas kwestji:

Postęp materialny, mający na widoku dobrobyt szerokich mas, nie może się odbywać sam przez się, bez równoległego postępu mo-

ralnego tych mas. Podnoszenie ich do wyższego poziomu życia materialnego musi mieć za podstawę uprzednie podniesienie ich umysłowe i moralne, umożliwiające im umiejętne korzystanie z materialnych zdobyczy ludzkości.

Istotę postępu rzeczywistego stanowi nieustanny ruch myśli i — następstwo tego — również nieustanny ruch napiętej woli ludzkiej. Z tego dopiero rodzi się czyn, owa alfa i omega wszystkiego, co na świecie zostało dokonane i co kiedykolwiek dokonane będzie.

Tylko czynna wola ludzka może świat przeobrazić, może go stopniowo udoskonalać, a przez to dawać człowiekowi więcej momentów szczęścia, budząc w nim chęci do coraz to nowych wysiłków na rzecz zdobywania tego szczęścia.

Natomiast nie czyni człowieka nieszczęśliwszym, zgoła nawet niezdolnym do odczuwania ani do pragnienia dostępnego dla niego szczęścia, jak lenistwo myśli i w ślad za tem idące lenistwo woli.

One to są źródłem tej fatalnej bierności Wschodu, który ugrzązł w zastoju cywilizacyjnym i kulturalnym, a obecnie, na szerokich przestrzeniach Rosji, popadł w zupełne barbarzyństwo.

Bierność i bezwład narodu rosyjskiego są zagadką dla Europy zachodniej, przyzwyczajonej do czynnego życia, do pracy i wysiłku, do ciągłego napięcia myśli i woli.

Dla nas jednak, którzy znamy życie rosyjskie z bliska, zagadka ta nie istnieje. Wiemy dobrze, iż bolszewizm nie jest wyłącznym dziełem garści obłąkańców doktryny i eksperymentatorów społecznych, którzy poszli śladem „Biesów“ Dostojewskiego i postanowili „zdziesiątować świat“ stworzeniem „piekła na ziemi“.

Doktryna ich przewróciłaby się nazajutrz po jej urzeczywistnieniu, gdyby przeciwstawiło się jej życie czynne, twórcze, dążące w imię swojej logiki do walki z nonsensem. Ale w Rosji takiego życia nie było. Panowało tam lenistwo myśli i lenistwo czynu. I to sprawiło, że naród rosyjski w wielomiljonowej swojej masie dał sankcję bolszewizmowi. Poparł go swoją biernością, swoim bezwładem, swoją niezdolnością do szybkiej i skoordynowanej reakcji.

Dzięki temu bolszewizm zdołał utrwalić się i zapuścić korzenie w głąb życia rosyjskiego. Dzięki temu trzyma się dotychczas i przy pomocy teroru utrzymuje cały naród w bierności, doskonale zdając sobie sprawę, że to jest jedy-

na jego siła. Mickiewicz miał słuszość, twierdząc, że naród rosyjski zna jeden tylko heroizm — *heroizm niewoli*. Niewola zaś dawna i obecna tego najnieszcześliwszego z narodów nie jest niczem innym, tylko wynikiem, jego biernego stosunku do życia, owocem lenistwa jego ducha, myśli i czynu.

I błędzą ci, którzy mniemają, że interwencja zbrojna mocarstw europejskich mogłaby w krótkim czasie położyć kres bolszewizmowi i odbudować Rosję, jako państwo praworządne, dla ekonomicznego życia świata niezbędne, dla swoich bogactw w rodzinie państw europejskich pożądane.

Gdyby do tego doszło, byłby to tylko efekt chwilowy, przemijający, bo bolszewizm istotny tkwi nie w terorystycznym rządzie Lenina i Trockiego, nie w ustroju federacyjno-socjalistycznej Republiki Sowjetów, ale w *duszy* rosyjskiej.

A stamtąd nie wyrwie go interwencja innych narodów. Wyrwać go może tylko sam naród rosyjski, skoro wyjdzie z okresu biernego bezwładności, a obudzi się do czynu i pracy.

Zniweczyć bolszewizm może tylko ten sam czynnik, który mu dał sankeję — lud rosyjski.

Dopóki nie odmawia on tej sankcji swoim despotem, dopóki nie obudzi się w nim instynkt życia i wola innego życia — dopóty Kreml będzie nad nim panował, choćby nawet czerwone chorągwie strącono z jego baszt, choćby dzisiejsi tego panowania przedstawiciele poszli po kolei na szafot, bo Kreml Iwana Groźnego czy Lenina — to w istocie rzeczy wszystko jedno. I wówczas była i dzisiaj jest ta sama podstawa jego władzy nad narodem — bierność i bezwład duszy tego narodu, którą tak trafnie ujął Kolecow w wierszu o „śpiącym chłopie rosyjskim („Czto ty spisz. mužiczok?“).

Cały naród rosyjski jest tym leniwym, śpiącym chłopem, którego „wiosna“ nie może wywabić z zapiecka i który swój bezwład ceni wyżej ponad życie, bo w imię tego bezwładu pokornie umiera z głodu i posłusznie staje „pod ścianką“.

Przy takim stanie duszy rosyjskiej bolszewickie hasło „państwa pracy“ stało się humbugiem, jakiego jeszcze świat nie widział, a zasada skądinąd słuszna, że „prawo do życia ma tylko ten, kto pracuje“, nigdy i nigdzie nie została tak sponiewierana i wypaczona, jak właśnie w tem humbugowem „państwie pracy“, którego jedynym pozytywnym wynikiem jest dotych-

czas zniszczenie niemal wszystkich warsztatów pracy, zrujnowanie całej produkcji rosyjskiej i wydanie na mękę głodową milionów ludzi, dla których dzisiaj brak pracy.

Człowiek opuścił ręce i niszczące siły przyrody natychmiast wzięły nad nim górę. Pozbawione dawnej, „zmurszałej“ i „przestarzałej“ organizacji życia i pracy, miliony ludu rosyjskiego stoją dzisiaj bezradne, nie umiejąc opanować i wyzyskać bogactw naturalnych swojej ziemi. Brak im do tego woli twórczej i brak kierującej tą wolą inteligencji. Stąd cały naród znajduje się w stanie rozkładu swoich sił materialnych i moralnych.

Wzajemna zależność od siebie tych sił nigdzie nie wystąpiła też tak wyraźnie na jaw, jak w Rosji, i to na długo jeszcze przed jej upadkiem.

Państwo rosyjskie posiadało jaką taką cywilizację materialną. Miało niewspółmierne do swoich obszarów i potrzeb, ale miało: komunikacje, przemysł, rolnictwo, górnictwo i handel. Dzisiaj nie posiada prawie nic z tego. W produkcji swojej cofnęło się do epoki Piotra Wielkiego, kiedy przy tych samych obszarach było ludności bez porównania mniej. Ziemia rosyjska nie może obecnie wyżywić swoich mieszkańców.

Wszystko to stało się dlatego, że, przyswajając sobie zdobycze cywilizacji zachodniej w zakresie życia materialnego, z którego udogodnień korzystały tylko warstwy uprzywilejowane, Rosja carska pozostawiła odłogiem duszę ludu rosyjskiego, nie dbała ani o jego oświatę, ani o podniesienie jego poziomu moralnego. Chłop i robotnik rosyjski był ciemny, pijany i amoralny, mimo, że do Petersburga jeździło się wagonem sypialnym, a w Petersburgu można było za drogie pieniądze otrzymać wszystko, czem rozporządzał Zachód w zakresie komfortu życiowego.

Kontrast pomiędzy życiem pierwotnem masy a życiem elity rosyjskiej był tak wielki, jak nigdzie w Europie.

Bolszewizm wyzyskał to umiejętnie na swoją rzecz i w imię swoich haseł poprowadził masy do „szczęścia dla wszystkich“, a więc do „grabienia zagrabionego“.

Jaki jest tego wynik, wiemy wszyscy. A jak wygląda „postęp“ bolszewicki, o tem najwyraźniej mówią: powszechna nędza, głód i tyfus, dziesiątkujący ludność miast i wsi rosyjskich, przy jednoczesnym dobrobycie komisarzy i tych łotrów, przeważnie żydów, którzy,

zdoławszy się obłowić, uciekli zagranicę z „raju“ rosyjskiego, gdzie „wyzwolony“ człowiek pozbył się wszystkich przesądów.

Dla ponoszącego się u nas „postępu demagogicznego“ jest to przestroga. Dla ciemnych mas, które idą u nas za temi hasłami jest to *Mane, Tekel, Ufarsim*, zrozumiałe dla tych, co nie zatracili jeszcze zdrowego sądu o rzeczach.

„Najwięcej ślepi są ci, którzy nie chcą wiedzieć“ — mówi przysłowie francuskie.

Czyżby u nas istotnie było ich tak wielu?

Czy grozi nam naprawdę „ślepotą“, wynikająca z braku woli widzenia?

Czy zamiast wyteżenia wszystkich sił, skupienia całej woli narodu w kierunku dźwignania moralnego robotników i włościan, prowadzenia ich ku światłu, rozszerzania ich widnokręgów myślowych i uczuciowych, budzenia w nich woli do pracy twórczej i wysiłku na rzecz swego własnego i narodowego jutra, będziemy cierpliwie słuchali, jak im demagogja społeczna opowiada bajkę o postępie i szczęściu na wzór bolszewicki?

Odpowiedzmyż sobie, czy jesteśmy w stosunku do tych zagadnień Zachodem, czy Wschodem?

APETYTY I NASYCENIA.

4*

LIBRARY OF THE
UNIVERSITY OF TORONTO

Jednem z najcharakterystyczniejszych znamion czasów powojennych jest wzmożona pogoń człowieka współczesnego za użyciem.

Nigdy może horacjuszowskie hasło „carpe diem” nie rozlegało się tak szeroko, jak obecnie.

Przed wojną zasadę użycia wyznawały tylko zdegenerowane warstwy arystokratyczne i plutokratyczne, które, rozporządzając nadmiarem środków, otrzymywanych bez pracy i wysiłku, trwoniły je w najbezsensowniejszy sposób. Znane są w tym kierunku wybryki miliardów amerykańskich. Znane są także zabawy bogaczy rosyjskich, rozbijających po pijanemu nie tylko lustra, ale całe urządzenia luksusowe w pierwszorzędnych restauracjach Moskwy i Petersburga. Nawet wymustrowane i wytresowane Niemcy nie uniknęły deprawacji, która w wyższych kołach towarzystwa berlińskiego znalazła swój najjaskrawszy wyraz w procesie Eulenburga, osobistego przyjaciela cesarza Wilhelma II-go. Przykład szedł z góry, więc

go skwapliwie naśladowała tyjąca w dobrobycie burżuazja berlińska.

Ona to wytworzyła na przełomie wieku XIX-go i XX-go nocne kawiarniano-lupanarowe życie Berlina, które miało nie tylko dorównać życiu paryskiemu, ale przewyższyć je i podnieść w ten sposób cichą, skromną, biedną i mało-miejską stolicę Fryderyka Wielkiego do miary stolicy świata, drugiego w Europie Babilonu.

Wszystko to jednak było dalekie od tego, co wytworzyły stosunki powojenne.

Bрудna piana życia rzucała się w oczy wszędzie, ale kto ją odgarnął, ten widział czysty nurt pod spodem.

Znieprawienie płynęło korytem dość wąskim. Narody na ogół były zdrowe. Ta sama burżuazja, której szczyty plutokratyczne, zbratane przez pieniądź z arystokracją i z dworem, popełniały łatwo nadużycia, w środkowej swojej warstwie była niejednokrotnie wzorem pracy, inicjatywy i zabiegliwości.

W Niemczech, we Francji, w Anglii stanowiła ona potęgę, na której wspierały się państwa. W jej rękach były zawody wyzwolone, przemysł i handel. Ona, dostarczając narodom swoim wykształconych specjalistów we wszystkich dzie-

dzinach, a przede wszystkim w dziedzinie tak szybko postępującej techniki, wytwarzała najwięcej bogactw, ale jednocześnie strzegła umiarkowania w ich użyciu. Pracowała i oszczędzała. Miała swoją dość ciasną „mieszcząską“ moralność, ale ją miała i stała przy niej twardo.

To wszystko załamało się po wojnie. Cały ten świat ludzi uczciwych, pracowitych, w wymaganiach swoich skromnych, uważających za nagrodę życia własny dach nad głową w domu podmiejskim z kawałkiem ziemi do hodowli kwiatów i uprawy jarzyn — zapadł się jakby pod ziemię, zniknął.

Na ich miejsce zjawiała się falanga spekulantów, lekceważących pracę i wysiłek, a żądnych milionów.

Łatwe ich zdobywanie podczas wojny przy dostawach do armji, a potem przez szeroko uprawianą lichwę żywnościową i towarową, zacstrzyło apetyty.

Jednocześnie pieniądz, zdobyty bez trudu, toczył się szybko. Nikt go nie zatrzymywał, nie oszczędzał.

Wielkie miasta zaszumiały i zapieniały się nowem życiem. Najbrutalniejsze i najtrywjal-

niejsze „używanie” stało się wszędzie hasłem *nouveauriche*’ów.

We wszystkich stolicach europejskich zauważono jedno i to samo zjawisko: wzrost życia hulaszczego, rozwielenienie się hazardu i obniżenie się poziomu moralnego społeczeństw. Wśląd za tem kroniki sądowe zaroily się od spraw o sprzeniewierzenia. Defraudowano naprzód sumy mniejsze, potem, w miarę postępu dewaluacji pieniądza, coraz większe, aż do sum wielomiljonowych.

Berlin, Wiedeń, Londyn czy Warszawa dają w tej mierze jednakowy materiał do rozważań. Publicystyka całej Europy szarpnęła za dzwonn alarmowy. Wystarczy wziąć do ręki dziennik angielski lub niemiecki, aby się przekonać, że choroba ma znamiona powszechności, że objawy jej są jedne i te same wszędzie.

Świat powojenny hula. Najwyraźniej popuścił sobie pasa, zamiast go ściągnąć i zacieśnić na biodrach.

Cóż stąd, że jednocześnie są rzesze bezrobotnych, że tak bogate państwo, jak W. Brytania, nie wie co zrobić z dwoma milionami ludzi, wołających o pracę i chleb, że wszędzie po zaułkach miast czai się nędza i głód.

To nikogo nie obchodzi. Kto ma, niech używa, aż do zupełnego nasycenia.

„Nasycanie“ to pochłania olbrzymie środki. Pochłania je najnieprodukcyjniej, bez żadnego pożytku dla jutra społeczeństw, wśród których się odbywa. Na rozpustę, na hazard, na pijaństwo idą ogromne sumy, a że „apetyt przychodzi podczas jedzenia“, więc ci, co raz na tę drogę weszli, potrzebują coraz więcej. Wyczerpie się ich własna kabza, sięgają do cudzej. Falszują przekazy, czeki, weksle, kradną, bo nie wszyscy są milionerami, a wszyscy miliony mieć muszą.

W Londynie np. kilkakrotnie zbrodniażami, którzy z zamordowanych ofiar zdarli biżuterję, okazali się zdemobilizowani oficerowie, wciągnięci w wir hulaszczego życia, a nie posiadający dostatecznych środków na utrzymanie się na jednej linji z towarzyszymi swoich zabaw.

Tak dalece sprawy już zaszły.

Żądza użycia jest zaraźliwa. Ogarnęła ona naprzód bogaczy wojennych, rozszerzyła się potem i na niebogaczy. Sięgnęła głęboko w społeczeństwa i wydobyła stamtąd wszystko,

co jest lekkomyślne i płytkie. Nie oszczędziła żadnej warstwy społecznej. Była przyczyną niejednej tragedji, niejednego samobójstwa. Rozbiła wiele małżeństw, unieszczęśliwiła wielu rodziców, znieprawiała tysiące kobiet, wprowadzając je w świat zbytku, który był do osiągnięcia tylko za cenę hańby. Kosztowne stroje, drogocenne futra, brylanty, to wszystko co dzisiaj kupuje się na wagę złota i co przenosi całkowicie możność ludzi, zarabiających na życie uczciwą pracą, można otrzymać od ludzi nieuczciwych, od spekulantów i graczy, ku nim więc garnie się kobieta i wraz z nimi spada na dno, znieprawiając się coraz bardziej i z coraz lżejszem sumieniem biorąc rozbrat z zasadami „dawnej“ moralności.

A „nowa“ moralność pozwala na wszystko, co jest użyciem, bo żyje się tylko raz i niewiadomo, co jutro będzie.

Otóż tak nie jest. Zupełnie *wiadomo*, do czego to prowadzi.

„Apetyty“, które nasycają dzisiaj szumowiny powojenne wielkich miast, budzą nierównie silniejsze apetyty w warstwach społecznych, które dalekie są jeszcze do nasycenia najpierwotniejszych swoich potrzeb.

Orgja, której te warstwy są świadkami, jest najlepszą, jaka być może, agitacją na rzecz bolszewizmu. Bo czemuż jest bolszewizm w najgrubszych swoich konturach, jeśli nie zasadą „ja, zamiast ciebie“.

Proletariuszowi wystarczy pokazać, że tam, za szybą, przy obficie zastawionym stole ucztuje zniechęcona burżuazja. Tak właśnie czyni bolszewizm. Pokazuje, zapewniając jednocześnie, że szybę wolno rozbić bezkarnie, bo na to pozwala prawo silnej pięści. „Silna pięść“ tłucze wówczas szybę i proletariusz dostaje się jednym skokiem do wnętrza. Burżuazja ucieka, a on zasiada do uczt na jej miejscu i „przewrót społeczny“ dokonany. Zaczyna się „dyktatura proletariatu“.

Trzeba być krótkowidzem, aby nie zdawać sobie sprawy z tego, że to, co dzieje się dzisiaj na całym świecie, to używanie życia *quand même*, wbrew wszelkim zasadom umiarkowania i moralności, jest podsycaniem apetytów tych warstw, które oddawna już stoją z twarzami, przyklepionymi do bardzo kruchej i łamliwej szyby, za którą to się odbywa.

I jeżeli agitacja, jaką prowadzi na gruncie europejskim Rosja sowiecka, nie wydała do-

tychczas owoców ani u nas, ani w innych krajach zachodnich, to zawdzięczać to należy tylko temu, że proletarjat europejski jest cierpliwszy, moralniejszy i mądrzejszy, niż okazał się nim proletarjat rosyjski, ciemny i amoralny.

Nie znaczy to jednak, aby niebezpieczeństwo nie istniało. Przeciwnie, wzrasta ono zdnia na dzień i jeżeli życie współczesne nie wróci do umiarkowania, jeżeli szlachetna prostota nie weźmie w niem góry nad rozrzutnem chamstwem, to rozwielniożniona dzisiaj żądza użycia rozszerzy się na wszystkie warstwy.

Pęknię wówczas stawidła i nastąpi katastrofa. Jedni drugim zaczną wydzierać środki, bo ilość bogactw na świecie jest ograniczona. Żaden cud, poza pracą ludzką, nie pomnoży ich, nie zwielokrotni tak, aby wszyscy osiąść mogli tyle, ile potrzeba dla nasycenia ich apetytów. Przytem apetyty ludzkie nie stoją w miejscu, ale rosą w stosunku kwadratowym do ich nasycania.

Nie trudno więc przewidzieć, że świat, o ile nie cofnie się z drogi, na którą wszedł po wojnie, prędzej czy później znajdzie się nad krawędzią przepaści i wątpliwe, czy będzie wów-

czas siła, która go potrafi od upadku w tę przepaść powstrzymać.

Byłoby to ruiną całej naszej cywilizacji i kultury. Po katastrofie takiej nastąpiłby okres zupełnego zdziczenia, z którego ludzkość musiałaby się powoli i długo dźwigać.

Zapewne, już jest objawem zdziczenia to, co dzieje się obecnie. Ale pomimo powszechności hasel „użycia“, które rozpętały w człowieku najniższe instynkty i najbardziej zwierzęce namiętności, istnieje jeszcze zdrowa i przewidująca myśl ludzka, która z szerzącą się psychozą walczy, przeciw niej występuje i grodzi tamy w poprzek wzbierającemu złu.

Na całym świecie, wśród wszystkich społeczeństw, brzmi coraz głośniej wezwanie do obrony tych praw moralnych, które niezbędne są do utrzymania człowieka w karbach. Wiekowe doświadczenie ludzkości ustaliło te podstawy etyczne, uświęciła je boska nauka Chrystusa, mają one za sobą wiele prób i wiele katastrof, przez które przechodziła ludzkość. Wytrzymają więc i próbę obecną, należy jednak przywrócić im autorytet, osłabiony z jednej strony przez jednostronną, materialistyczną filozofję świata przedwojennego, z drugiej przez

wojnę, która, jako zjawisko w istocie swojej destrukcyjne, dążące do zniszczenia, nie oszczędziła i wewnętrznego świata człowieka, osłabiając w nim poczucie ceny i wartości życia.

„Użycie“ nastąpiło też po wojnie poniekąd jako naturalna reakcja po prywacjach okresu wojennego. Czas atoli, aby już nastąpiła z kolei reakcja przeciw użyciu, przeciw wzrastającym apetytom i nasyceniu tych apetytów przez tłum, pojmujący życie, jako koryto.

Czas, aby człowiek wystąpił w obronie swojego „ludzkiego“ dostojeństwa.

RZECZY NIEPOTRZEBNE.

Jeżeli słuszną rzeczą jest piętnowanie zbytku w znaczeniu luksusu życiowego, to niemniej słuszną rzeczą wydaje się na tle wytworzonych przez wojnę stosunków rewizja pojęcia *nadmiaru* w zakresie produkcji, zaspokajającej pozornie tylko nasze potrzeby, w istocie zaś zmierzającej do zarzucenia nas całym mnóstwem rzeczy niepotrzebnych, a więc zbytecznych.

Mamy tu do czynienia z tem, co nazwałoby można „zbytkiem tandety“. I kto wie, czy tego rodzaju zbytek nie kosztuje nas w sumie znacznie więcej, niż wyrafinowany zbytek warstw zamożnych, który w części przynajmniej wkracza w dziedzinę sztuki i zaspokaja wyższej kategorii potrzeby estetyczne człowieka cywilizowanego.

Oczywiście, nie mówimy tu o bezsensownych nadużyciach w zakresie kosztownych strojów i drogich kamieni, co wywołuje coraz ostrzejszą krytykę burżuazji współczesnej, a zwłaszcza jej świeżo wzbogaconych odłamów,

nietylko ze strony dołu społeczeństwa, ale tem-
bardziej ze strony jego góry intelektualnej i mo-
ralnej, która widzi w prostocie ideał kultury,
a w umiarkowaniu szczęście społeczeństw i na-
rodów. Przy prostocie i przy umiarkowaniu
jest jednak miejsce na sztukę, która uchodzić
może za luksus tylko w oczach ludzi niedocy-
wilizowanych, w istocie zaś stanowić powinna
jedną z najbardziej zasadniczych potrzeb czło-
wieka, żyjącego pełnią życia umysłowego i du-
chowego – i to potrzebę codzienną, nie odświętną.

Prawo do zaspokajania tej potrzeby ma
każdy, kto ją odczuwa. W praktyce jednak
okazuje się, że może ją zaspokajać tylko ten,
kto posiada na to odpowiednie środki, to znaczy
nadwyżkę, pozostającą mu po zaspokojeniu
potrzeb, w mniemaniu ogólnem nieodzowniej-
szych od tego, czego wymagają dla siebie umysł
i dusza. One stoją w życiu średniego człowieka
na ostatnim planie. Na pierwszy plan nato-
miast kultura materialna naszej epoki wysu-
nęła tysiące drobnych potrzeb, które w sumie
pochłaniają olbrzymie środki jednostek, spo-
łeczeństw i narodów.

Znaleźliśmy się poprostu w niewoli przy-
zwyczajzeń, nalogów i mody do tego stopnia, że

zaczęliśmy już mierzyć kulturę człowieka nie według bogactwa jego umysłu i duszy, lecz według skali jego życia materialnego, według stopnia, w jakim zaspokaja on te właśnie swoje przyzwyczajenia, nałogi i wskazania mody.

Wszedłszy np. do mieszkania robotnika Niemca w Łodzi, odnosimy wrażenie, iż posiada on kulturę wyższą, niż robotnik Polak, widzimy bowiem w jego otoczeniu mnóstwo przedmiotów, których w izbie robotnika polskiego niema. Tymczasem nieraz przy bliższem porównaniu okaże się, że ten Polak, który nie posiada ani kanapy, krytej tandetnym pluszem, ani dywana, ani lustra, jest w gruncie rzeczy człowiekiem o delikatniejszych uczuciach, niż Niemiec, że ma on stokroć większe przywiązanie do swoich tradycyj i do swojej Ojczyzny, aniżeli tamten, dla którego Ojczyzna jest tam, gdzie mu jest dobrze.

Podobnie w chacie włościańskiej przy całej prymitywności jej urządzenia możemy spotkać nieraz o wiele wyższy poziom kultury zwyczajaj i obyczajaj narodowego, niż w zapchanym tandetą salonie łyka, usiłującego pokryć kalectwo i ułomności swego umysłu i duszy materialną dekoracją wnętrza miejskiego, urzą-

dzzonego bez smaku, aczkolwiek chępiącego się sztuczną palmą, bukietem makartowskim i ordynarnymi reprodukcjami kiepskich dzieł sztuki, co wszystko ma świadczyć o „kulturze“.

Nie trzeba długo dowodzić, że taka ocena kultury jest zgoła fałszywa.

Tymczasem jest to miara stosowana dzisiaj bardzo często w ocenie tych zjawisk, które zaliczamy do zjawisk życia kulturalnego.

Obrońcy tego poglądu powołują się zazwyczaj na ścisłą zależność kultury od dobrobytu. Twierdzą oni zupełnie słusznie, że kultura ma o tyle większe szanse rozwoju w danym kraju, o ile panuje tam większy dobrobyt, że potrzeby wyższej kategorii mogą zjawić się dopiero tam, gdzie potrzeby najpierwsze zostaną zaspokojone łatwo, nie pochłaniając całego wysiłku człowieka.

Tak jest istotnie. Kultury bez dobrobytu niema. Ale z drugiej strony — dobrobyt nie zawsze stwarza kulturę, nie zawsze prowadzi do niej prostą i nieomylną drogą. Może on być użyty dobrze i źle, celowo i błędnie.

I bodaj, że dzisiaj mamy niemal na całym świecie do czynienia z zasadniczym błędem, który polega na jednostronnem, materialisty-

cznem ujmowaniu zagadnienia kultury, opartej o dobrobyt.

Wielu ludziom wydaje się, że szerokie warstwy osiągną wyższy stopień kultury bardzo szybko, jeżeli tylko w ich rozporządzeniu znajdują się odpowiednie środki.

Takie środki znajdują się już dzisiaj w rękach wielu robotników. W niejednej gałęzi przemysłu i rzemiosła zarabiają oni tyle, że pewna dość znaczna nadwyżka może być przez nich stale używana na cele kulturalne. Powinny więc być już dzisiaj objawy podnoszenia się kultury w tych warstwach. Tymczasem, wręcz przeciwnie, stwierdzamy na każdym kroku obniżanie się poziomu tej kultury u ogółu np. ludności Warszawy. Znaczy to, że środki, którymi ten ogół rozporządza, inaczej są używane.

I rzeczywiście, rozejrzawszy się w życiu uważniej, spostrzeżemy dość łatwo, że ta nadwyżka środków obracana jest przeważnie na zakupy przedmiotów materialnych o wątpliwej wartości użytkowej, a o żadnej wartości estetycznej.

Wszelka tandeta galanteryjna znajduje obecnie zbyt niesłychanie łatwy, pomimo wysokich cen. Zapotrzebowanie na nią wzrasta.

Mamy tu do czynienia poprostu z szalem nabywczym, do czego w znacznej mierze przyczynia się niewątpliwie stale postępująca dewaluacja pieniądza. Ale nie tylko ona. Obok niej odgrywa tu poważną rolę złudzenie, że nabywanie takich przedmiotów świadczy o kulturze.

Że tak jest, potwierdzają to stosunki, panujące gdzieindziej, zwłaszcza w Niemczech, gdzie w najlepszych przedwojennych czasach tandeta galanteryjna cieszyła się ogromnym zbytem.

Pamiętamy wszyscy okna wystawowe niektórych sklepów berlińskich z napisem: *In diesem Fenster alles für 1 Mark!* Czego tam nie było? I wszystko znajdowało chętnych nabywców. Kupowała ludność miejscowa, kupowali i przejezdni, zwłaszcza Polacy, zwabieni śmiesznie niską ceną i pozorami „kultury“.

Zwożono też do domu całe stosy takich „pamiątek“ z podróży za granicę, obdarowywano nimi członków rodziny i przyjaciół i wszystko to, jako nic niewarte, w krótkim przeciągu czasu zwiększało magazyn nikomu niepotrzebnych i na nic nieprzydatnych rupieci. A kupcy berlińscy zacierali ręce. I słusznie, byli bowiem dobrymi psychologami. Naiwność

polska i brak kultury u wielu Polaków płaciły im haracz.

Tymczasem te same pieniądze, a nawet znacznie mniejsze, bo w grę wchodziły tu dziesiątki milionów, zużyte w kraju na cele rzeczywiście z kulturą związane, mogły być poważnie na rozwoju tej kultury zaważyć.

Nauka jednak, jak zwykle, poszła w las i dzisiaj dzieje się to samo, z tą jedynie różnicą, że coraz szersze warstwy ludności biorą udział w wyrzucaniu pieniędzy na pseudo-kulturalną tandetę, czyli w bezużytecznym trwonieniu środków, które powinny służyć celom szlachetniejszym i wyższym.

Wszystko to idzie na rękę tylko masowej produkcji tandety (gdybyż przynajmniej swojskiej!) Wielki przemysł tandeciarski, który ma w Niemczech swoje siedlisko, a który, pomimo „bojkotu ekonomicznego Polski“ drzwiami i oknami wciska się do nas, korzystając zwłaszcza z wyjątkowej sytuacji, jaka wytworzyła się dla niego w Gdańsku, bardzo umiejętnie wyzyskuje na swoją rzecz ten moment psychologiczny, a my, łudząc się pozorami, zamiast na drodze do kultury, jesteśmy na drodze do stałego zubożania kraju i obniżania własnej waluty.

Jak bowiem przedstawia się przyszłość?

Polityka wielkiego przemysłu, produkującego masowo, polega na tem, aby każdy wytwór narzucić spożywczy, uczynić go modnym, a przez to niezbędnym, po nasyceniu zaś rynku wypuścić natychmiast wytwór nowy, dyskredytujący i wypierający tamten.

W dziedzinie mody jesteśmy nieustannie świadkami takiego wypierania „ostatnich krzyków“ poprzedniego sezonu przez „ostatnie krzyki“ sezonu nowego. W nie tak jaskrawej postaci, ale to samo odbywa się wszędzie i odbywać się będzie tak długo, dopóki ludzkość pozwoli w sobie wmawiać potrzeby, których nie ma i nie przekona się o nieużyteczności tego, co reklamuje się, jako niezbędne.

Dzisiaj na „niepotrzebne rzeczy“ wydajemy miljardy i wydawać będziemy tych miliardów coraz więcej, jeżeli trwać będziemy w złudzeniu, że to one, te „rzeczy niepotrzebne“, które ciągle płaczą się nam pod rękami, dopóki nie wyrzucimy ich na śmieci, rozstrzygają o kulturze.

W każdym domu znajduje się ich całe mnóstwo. Gromadzą się one z roku na rok i z roku na rok tracą swoją wartość.

Tymczasem w żadnym z tych domów nie ma choćby najmniejszego dzieła sztuki, drobnego, ale artystycznie wykonanego posążku, miniatURY, portretu, obrazu oryginalnego, cenniejszego sztychu lub wytworniejszej i pięknie oprawnej książki, wogóle nic z tego, co miałyby szanse trwania w czasie i przejścia do pokoleń następnych.

Pamiętki takie dziedziczyliśmy po pokoleniach poprzednich, miały one dla nas swoją wymowę i przyczyniły się w niemałym stopniu do utrzymania ciągłości w rozwoju kultury narodowej. Ale następcy nasi już po nas nic nie otrzymają, bo nas nie stać na takie wydatki.

Niepostrzeżenie natomiast i bez rachunku wydajemy w ciągu życia ogromne sumy na „rzeczy niepotrzebne“, które zasilają w następstwie śmietniska wielkomiejskie.

Ile razy za miastem zobaczymy na takim śmietniku stopy dziurawych naczyń emaljowanych, które tam znalazły żalony swój koniec, przypomnijmy sobie nie tylko piękne naczynia miedziane ubiegłych epok, ale i zastanówmy się nad tem, czy cały dorobek naszego życia współczesnego, opartego o masową produkcję,

nie jest skazany na ten sam los? Odpowiedzmy też wewnątrz siebie, czy nie nadszedł już ostatni czas do rozpoczęcia walki z przytłaczającym nas nadmiarem „rzeczy niepotrzebnych“ — czas budowania kultury na innym, nie materialnym, podłożu?

PROLETARYZACJA INTELIGENCJI.

PROJEKT WYKONANY W ZAKŁADACH

Zjawisko proletaryzacji warstw inteligentnych wystąpiło na jaw wszędzie, nie wyłączając społeczeństw o najmocniejszej strukturze i ustalonym porządku. Zarówno w Anglii, jak we Francji, zarówno w Niemczech, jak we Włoszech. Nawet w Ameryce.

Praca umysłowa, wynagradzana daleko gorzej niż praca wykwalifikowanego rzemieślnika lub robotnika, nie wytrzymuje dzisiaj współzawodnictwa z pracą fizyczną.

Profesorowie uniwersytetów, nauczyciele, sędziowie, urzędnicy biurowi, literaci stoją na szarym końcu w stosunku do zarobków warstw innych. Skargi ich podnoszą się zewsząd. Jednocześnie 10sną narzekania na upadek kultury, na stałe obniżanie się jej poziomu we wszystkich krajach europejskich.

Początkowo przypisywano to tłumnemu wtargnięciu do życia bogaczy powojennych, którzy wnieśli z sobą parwenjuszostwo i gruby, niewybredny smak, szukający silnych podrażnień.

Zapewne nie jest to bez znaczenia. Ta fala „nowych ludzi“, nie posiadających żadnych tradycji kulturalnych, musiała wyrzucić i wywarła swój wpływ, dajmy na to, na sztukę zarobkującą, która w interesie swoich zarobków przystosowała się do wymagań klienteli powojennej.

Najjaskrawiej wystąpiło to na jaw w teatrze, który pierwszy zrezygnował z ambicji artystycznych i wszedł na drogę schlebiana upodobaniom nowych widzów, szukając dla siebie oparcia w repertuarze sensacyjnym, w widowiskach i „bombach“, nic wspólnego z sztuką nie mających.

Stało się to, jak na komendę, w całej Europie i cała Europa stoi dzisiaj w obliczu ostrego przesilenia teatralnego.

W mniejszym jednak stopniu odbiło się to już na sztukach plastycznych, na muzyce, na literaturze pięknej, a wcale już nie powinno było się odbić na nauce. Tymczasem we wszystkich tych dziedzinach twórczej pracy kulturalnej z równą siłą zarysowały się znamiona upadku.

Produkcja naukowa i artystyczna zmalały. Zabrakło im jasnych i wyraźnych dyrektyw. Zaczął się taniec dokoła nowych haseł, zaczęło

się wywieszanie nowych, jaskrawych chorągwi o krzykliwych barwach i o krzykliwych napisach, ale nie zjawily się w ślad za tem nowe talenty, nie rozblysnęło światło żadnego genjuszu, nie zjawiło się żadne dzieło, które zwróciłoby na siebie uwagę powszechną i pozwoliło stwierdzić, że nastala „nowa epoka“.

Młode pokolenie artystów zdołalo już przegalopować przez futuryzm, kubizm, formizm, aż do dadaizmu i nie pozostawilo po sobie nic, prócz wzbitego tumanu kurzu. Żadnej zdobyczy trwałej, żadnego dorobku, któryby stanowil jego chlube.

Taki sam „efekt“ pozostawia po sobie tabun zrebców na pustej, piaszczystej drodze.

Podobnie nauka współczesna dobiła do portu „teorii względności“ i stanęła na martwym punkcie. Nie rozwiązała żadnego z wielkich zagadnień, które zagroziły drogę ludzkości, nie zapaliła żadnego światła na horyzoncie, nie tchnęła w nikogo nadziei i wiary w jutro, ale, przeciwnie, zadzwoniła na trwogę i zaczęła mówić o „upadku cywilizacji“.

Otóż temu już nie są winni tylko *nowi bogacze*. Przyczyny tego powszechnego nastroju sięgają głębiej.

Za jedną z nich uważać można wyczerpanie psychiczne pokolenia, które przeżyło wojnę.

Fizyka uczy nas, że gdy jakikolwiek układ materialny pracuje, odbywa się to zawsze kosztem nagromadzonej w nim energii. Zapas tej energii musi się prędzej czy później wyczerpać, bowiem zawsze jest ograniczony, choćby nawet był bardzo wielki.

Dlatego niemożliwe jest istnienie *perpetuum mobile*, t. j. maszyny, która dostarczałaby nazewnątrz pracy, nie otrzymując z zewnątrz dopływu energii. Maszyna taka musiałaby posiadać sama w sobie niewyczerpalne zasoby energii, co jest nonsensem z punktu widzenia mechaniki.

To samo da się powiedzieć i o pracy naszego układu psychicznego. Odbywa się ona także kosztem nagromadzonej w nas energii psychicznej, której zapas jest równie ograniczony. Dłuższa i wyętzona praca psychiczna bez dopływu nowych zapasów energii jest niemożliwa. Maszyna musi stanąć. I oto właśnie jesteśmy w tym momencie, kiedy czujemy coraz wolniejszy obrót jej kół. Wyraźnie zatrzymuje się ona. I to powoduje upadek twórczej pracy kulturalnej.

Inaczej jednak być nie może. Najlepsi ludzie naszego pokolenia, ci, którzy mieli w sobie najbogatsze zasoby energii psychicznej, to znaczy myśleli i czuli podczas wojny „za miliony“, tak wyczerpali w tej pracy swoją energję, że dzisiaj gonią resztkami. Nadto układ stosunków powojennych zażądał od nich większego niż przedtem wydatkowania sił intelektualnych i psychicznych na walkę o byt. Walka ta stała się znacznie trudniejszą. Koszt zaspokojenia najpierwszych potrzeb wzrósł wielokrotnie, zgoła nieproporcjonalnie do wzrostu wynagrodzenia za pracę. Kłopoty życia codziennego spiętrzyły się na drodze uczonego i artysty w próg nie do przekroczenia.

W takich warunkach praca twórcza na rzecz kultury musiała ulec omdleniu. Większość pracowników znalazła się w tem położeniu, że nie stać ich na wysiłek. Mózgi i dusze ich znajdują się wyraźnie w fazie odpływu energii. A młodsze pokolenieuczonych i artystów, które wchodzi dopiero w życie, również wyczerpane przez wojnę, nie skupiło się jeszcze, nie odnalazło samego siebie i nie wytworzyło nowych źródeł energii zasilającej. Wskutek tego w pra-

cy kulturalnej powstała przerwa, niebezpieczna dla przyszłości.

Niebezpieczeństwo to wzrasta na każdym kroku i budzi obawy we wszystkich przezorniejszych umysłach.

Kultura jednak przeżywa ciężki kryzys nie tylko dlatego, że wskutek wyczerpania energii psychicznej osłabły jej motory wytwórcze. Drugostronnie działa tu także brak bodźców zewnętrznych dla sił w narodzie twórczych. Stoją one osamotnione. Nikt ich nie poprze, nikt do wysiłku nie zachęca, bo *konsumpcja kultury* zmniejszyła się po wojnie znacznie. Żelazne prawo ekonomiczne popytu i podaży i tu zaznaczyło się w całej pełni. Popyt na kulturę ustał, zmniejsza się więc i jej podaż.

Dlaczego jednak ustał?

I znów nietylko dlatego, że wojna wyrzuciła na wierzch społeczeństw dziesiątki tysięcy ludzi, którzy zdobyli nieraz potężne środki materialne, ale nie zdobyli kultury, bo tej z dnia na dzień zdobyć nie można. Za pieniądze jej nie kupi. Na targu jej nie sprzedają. O tem dobrze wiedzą *nowi bogacze* i, otaczając się zbytkiem materialnym, nie pretendują do rozkoszy, jakie daje wyższa kultura umysłu i duszy. Rozumie-

ją, że to należy do warstw, odpowiednio do tego przygotowanych, które szczebel po szczeblu przeszły swój rozwój. A te warstwy tymczasem znalazły się w położeniu, niesłychanie utrudniającem zaspokojenie potrzeb wyższej kategorii.

Uległy one, jak już mówiliśmy, proletaryzacji. „Inteligencja“ każdego kraju jest z natury swojej konsumentem kultury, wytwarzanej przez przodujące w narodzie umysły. Ona stanowi rezonans, niezbędny dla uczonego i artysty. Ona przetwarza i przyswaja sobie te idee naukowe i artystyczne, które rzuca w świat niepowszedni umysł lub niepowszedni talent. Ona wprowadza to w obieg, popularyzuje i czyni własnością narodu.

Bez niej głos uczonego i artysty byłby głosem wołającego na puszczy. I takim właśnie głosem staje się obecnie, bo coraz szczuplejsze jest koło tych, co w życiu kulturalnem mogą brać udział. Książka naukowa, tom poezyj, teatr, koncert, reprodukcja artystyczna dobrego dzieła sztuki itd., wszystko to stało się „zbytkiem“ dla nauczyciela lub nauczycielki, dla urzędnika z wyższem uniwersyteckiem wykształceniem, dla sędziego lub literata.

Wszystko to może kupić sklepikarz, zbożacy na lichwie żywnościowej. Nic z tego nie jest dostępne dla przedstawiciela inteligencji.

Najgorzej jednak pod tym względem przedstawiają się stosunki wśród młodzieży uniwersyteckiej. Najwrażliwsza, a więc najpodatniejsza do wpływów kulturalnych warstwa inteligencji znajduje się w najopłakańszym stanie materialnym, jest w znacznej swojej części bez dachu nad głową i bez możliwości odpowiedniego wyżywienia się.

O czemże może myśleć student w takich warunkach, do czego nabierać zamiłowania, jak kształcić i rozwijać budzące się w nim upodobania?

Nie stać go na kupno podręcznika naukowego. Nie może sobie sprowadzić najniezbędniejszej do swoich studjów książki w języku francuskim, angielskim czy niemieckim, bo to przenosi jego siły. Cóż więc dopiero mówić o tych rozrywkach kulturalnych, które wykraczają po za dziedzinę potrzeb koniecznych, a więc stają się w warunkach obecnych używaniem, a nawet nadużywaniem.

Prawo do rozkoszy umysłowej i duchowej zostało tedy niemal całkowicie odjęte młodemu pokoleniu inteligencji polskiej.

Przymierając głodem, borykając się z ciągłym niedostatkiem, przebija się ono z trudem przez lata uniwersyteckie. Zarobkując na boku, opóźnia się w studjach i studja te prowadzi niedokładnie, z myślą raczej o dyplomie, który daje prawo do zajęcia lepiej płatnego stanowiska, niż z myślą o rzetelnej wiedzy i o rzetelnej kulturze. A przecież są, bo *muszą* być wśród tego pokolenia przyszli pracownicy na niwie kultury narodowej, nietylko przyszli lekarze, adwokaci, inżynierowie i urzędnicy, ale i przyszli uczeni, pisarze i poeci, których obowiązkiem jest strzec dorobku kulturalnego narodu i dorobek ten pomnażać własnymi wkładami.

Jakaż będzie ta straż, jakie będą te wkłady, jeżeli sproletaryzowane pokolenie młodej inteligencji polskiej nie zdoła przygotować się odpowiednio do tej swojej roli i wejdzie w życie jedynie lub przedewszystkiem z myślą o zaspokojeniu swoich potrzeb materialnych, jako najpilniejszych i najważniejszych?

Wytwórczość kulturalna narodu osłabnie wówczas jeszcze bardziej, konsumpcja kultury zmniejszy się jeszcze dotkliwiej, a ciemnota i barbarzyństwo podniosą głowę do góry.

Oto do czego prowadzi i jakimi grozi nam następstwami proletaryzacja inteligencji.

Codzień jest gorzej. Codzień groźniej wygląda ta sprawa. A fala drożyzny wzbiera i coraz to kogoś strąca z poziomu względnego dobrobytu do poziomu ubóstwa. Zainteresowania kulturalne w społeczeństwie słabną, a nauka, literatura i sztuka oddychają resztką swoich nadwątlonych płuc, powstrzymywane resztką gasnącej energii tych, co jeszcze wytrwali.

Słabsi uciekli już dawno z tonącego okrętu. Silniejsi trzymają się jeszcze, ale czy *wytrzymają* długo?

PROSTOTA A PROSTACTWO.

Dążeniem kultury rzetelnej jest *prostota*. Dowodem kultury fałszywej jest *prostactwo*, które równie dobrze może się ujawniać w przepychu i nadmiarze, jak w brakach i niedoborach życia.

Tam, gdzie to prostactwo występuje na jaw, gdzie wdziera się we wszystkie dziedziny życia, nie wyłączając najwyższych funkcji ducha ludzkiego, a więc twórczości artystycznej — gmach kultury narodowej jest poważnie zagrożony. Następuje upadek, a w ślad za tem zanik dobrego smaku. Wówczas kultura, zamiast rozszerzać się i ogarniać warstwy, podnoszące się od dołu, kurczy się i staje przywilejem nielicznych jednostek, które pielęgnują ją w ukryciu i samotności i tem chronią od zagłady.

Na powierzchnię życia występują natomiast niekulturalne masy i one nadają ton życiu.

Niektórzy nazywają to „demokratyzacją“ społeczeństwa, jakgdyby demokracja polegała

na wyrzeczeniu się kultury przez warstwy wyżej stojące na drabinie społecznej, a nie na podniesieniu warstw niżej stojących do poziomu, umożliwiającego im duchowe i umysłowe współżycie z elitą narodu.

Błąd taki popełniła w swoim czasie inteligencja rosyjska, skupiona pod hasłem t. zw. *narodniczestwa*. Przywdziewała ona czerwone, chłopskie koszule, zrzucała surduty, wyrzekała się kultury, którą zdobyła, i szła „w naród“ (do ludu), przystosowując się do jego życia najprzód zewnątrz, a potem i wewnątrz, duszą, umysłem i pojęciami moralnymi.

Była to droga niezawodna do prostactwa i tak się też stało.

Chłopomanstwo rosyjskie nie wpłynęło nic a nic na podniesienie kulturalne ciemnego i nieoświeconego ludu, który wcale nie okazał się „źródłem odrodzenia“, a wykoleiła niejednego z tych, co mogli byli z pożytkiem pracować dla kultury rosyjskiej przy jej warsztatach wytwórczych i zabezpieczyć tę kulturę od rozkładu, to znaczy, uczynić ją wytrzymalszą na wpływy destrukcyjne fermentów rewolucyjnych.

Tymczasem kultura rosyjska, jak się okazało później, naporu czynników wywrotowych

nie wytrzymała. Nie było komu jej bronić. Upadła razem ze starem społeczeństwem, a na jej gruzach „nowy porządek rzeczy“ obwieścił światu jeden z największych, jakie mogą być, nonsensów — *kulturę proletariatu*, czyli posunięte do ostatnich granic prostactwo, nastrojone łupieżczo i niszczycielsko w stosunku do wszystkiego, co było w jego oczach wytworem znienawidzonego świata burżuazyjnego.

Jest to bardzo wymowna przestroga dla tych, co w Polsce współczesnej, nie rozumiejąc istoty kultury, nawołują do „sprzeniewierzenia się ideałom starej kultury, sędziwym tradycjom i dostojnym obyczajom“, widząc w tem zabytki „średniowiecza“, pragną natomiast dać narodowi „nową“ *kulturę ludową*.

Uważanie *ludu* w całej jego masie za czynnik w dziedzinie kultury twórczy, za źródło żywe tej kultury, jest błędem zasadniczym. Na dnie tego poglądu kryje się wyraźnie demagogja, która była, jest i zawsze będzie największym wrogiem kultury.

Hasła tego rodzaju trzeba więc przyjmować ostrożnie nawet tam, gdzie nie płyną one ze złej woli, ale z naiwności i zaślepionego entuzjazmu dla idei ludowładztwa ze strony tych,

co je głoszą, ujmując całe zagadnienie w sposób tak uproszczony, choć nie dla tych celów, przez Wyspiańskiego: „chłop potęgą jest i basta!“

Przecenianie tej potęgi, zwłaszcza w dziedzinie spraw, dotyczących kultury, kryje w sobie poważne niebezpieczeństwa nawet dla narodu o najdemokratyczniejszej linii rozwoju na przyszłość.

Czy chcemy wyzwolić u siebie to samo prostactwo, to samo barbarzyństwo i zdziczenie, które wyzwoliło się w Rosji?

Niema chyba w Polsce nikogo, po za szczupłą garścią zwolenników Dąbala, Okonia i Łańcuckiego, kto pragnąłby powtórzyć na naszej ziemi podobny eksperyment.

I dlatego zdrowa opinia publiczna musi przeciwstawić się tym, którzy mówią masie ludowej: „ty jesteś siłą, a więc ty jesteś także źródłem kultury“.

Lud jest *siłą* liczebną i temu nikt nie zamierza przeczyć.

Ale lud nie był nigdy *źródłem* kultury. Był tylko skarbnicą, przechowującą najdłużej i najcierpliwiej to, co naród, jako całość, na przestrzeni wieków w dziedzinie kulturalnej wytworzył, a czego istotnymi twórcami były za-

wsze jednostki twórcze, najwyżej wśród tego narodu stojące i obdarzone darem myślenia i czucia „za miliony“.

A więc, w czasach odległych, prasłowiańskich, kapłani i gęślarze. Ich to genjusz stworzył najprawdopodobniej większość owych melodij, które uchodzą dzisiaj za skarb „melodij ludowych“, nieoszacowanych dla muzyki współczesnej.

Później, w początkach epoki historycznej, książęta, rycerze i szlachta, jako warstwy, produkujące narodowi. Stąd rycersko-ziemiański charakter całej naszej kultury.

Wreszcie, w epoce dojrzałości cywilizacyjnej, pisarze, poeci i artyści — owi twórcy najwyższych wartości duchowych narodu.

Lud, jako masa, w tej pracy kulturalno-twórczej żadnego udziału nie brał. Od czasu do czasu tylko zjawiały się wśród niego jednostki twórcze, które do ogólnego skarbcza dorzucały swoje wkłady indywidualne.

Masa jedynie przechowywała, pamiętała przyswajała sobie, ale nie tworzyła.

Bliższe badania wykazują, że nawet rzeczy, które uchodziły do niedawna za niezaprzeczony wyraz samoistnej kultury ludowej, są tylko

wtórny odbiciem wzoru, zaczerpniętego z poza dorobku ludowego.

Jakimż poważnym znakiem zapytania należy opatrzyć cały nasz niedawny zachwyty dla zakopiańszczyzny?

Czy wyszycia na „portkach“ i serdakach góralskich nie mają nic wspólnego z wyszyciami, haftami i szamerowaniami na historycznych strojach szlachty i magnatów węgierskich?

Kto tu był istotnym twórcą?

A rzeźba zakopiańska? Czy stworzyło ją samorodne uzdolnienie plastyczne ludu, czy też lud ten naśladował wzory, widywane gdzieindziej?

W muzeum przemysłowym w Flensburgu nie można nie zauważyć charakterystycznej szafy w stylu późnego gotyku, której całe zdobnictwo przypomina tak żywo ornament zakopiański, że trudno nie zadać sobie pytania, skąd wzięło się to powinowactwo i co jest starsze na Podhalu — gotyk czy kredensy góralskie?

Kto wie, czy lud tamtejszy, modląc się w nieistniejących już dzisiaj kościołach drewnianych, przed ołtarzami snycerskiej roboty, utrzymanymi w porządku gotyckim, nie brał

stamtąd motywów zdobniczych i nie przenosil ich na swoje sprzęty domowe?

Kto wie, czy to właśnie naśladownictwo nie dało początku rzeźbie zakopiańskiej?

A czy inkrustowane szkatułki i talerze hu-culskie nie mają nic wspólnego z perskim, tu-reckim i arabskim ornamentem, który był tuż o miedzę? Czy ceramika kołomyjska nie czer-pała dla siebie kształtu i wzoru (krągłe butle do wody, noszone na rzemieniach lub nadziewane na rękę) z sąsiedniej wołoszczyzny, gdzie prze-chował się jeszcze kształt i wzór italo-grecki? Czy kilimy wschodnio-galicyjskie nie mają nig-dzie powinowactw? Podobne zagadnienia piętrzą się przed nami na każdym kroku.

I barwne wełniaki łowickie uchodzą prze-cież za dowód poczucia koloru u naszego ludu i za samorodną jego wytwórczość.

Czy jednak można zamykać oczy na to, że te wełniaki o barwach „swojskich“ są bliźnia-czo podobne do pasiastego stroju piechoty pa-pieskiej, który, jak wiadomo, skomponował Michał Anioł.

Czy to jest prosty przypadek, czy może któryś z prymasów polskich, bo do nich łowic-kie należało, będąc w Rzymie, przywiózł stam-

tał wzór tkaniny i zaszczerpił ją ludowi, chcąc mieć, na wzór papieski, barwne otoczenie? Może ten sam, któremu dwie wsi w łowickiem zawdzięczają do dzisiaj istniejące swoje, na polskiej ziemi niespodziane, miana: Parma i Płacencja (niewątpliwie Piacenza)? Bo i dlaczego te barwne welniaki miałyby być tylko wytworem ludu łowickiego? Dlaczego niema ich po za granicami księstwa?

Ktoś niedawno zakwestjonował nawet *narodowość* czerwonej kamizeli krakowskiej ze złotemi guzami i podobno data jej pochodzenia wcale nie jest tak dawna.

Było to w roku 1815-tym, po kongresie wiedeńskim. Anglja demobilizowała wówczas armię Wellingtona. Poszły na sprzedaż stare mundury. Były to czerwone fraki. Kto je skupił z demobilu — niewiadomo. Dość, że wędrując po Europie, dostały się w końcu do żydów krakowskich, którzy, uważając, że frak jest strojem nieprzydatnym, obcięli mu poły i tak powstała krakowska kamizela z rękawami, a ponieważ kolory biały z czerwonym były oddawna barwą województwa, które, jako krakowskie, otrzymało barwy państwowe, powiewające na zamku Wawelskim, przeto lud upodobał sobie

tę kamizelę i pozostał przy niej przez całe stulecie.

Bajka to czy prawda? Kto wie.

Faktem jednak jest, że t. zw. twórczość ludowa na każdym kroku narzuca wątpliwości i dlatego nie można traktować jej bez poważnych zastrzeżeń.

Inna rzecz, że lud, jako skarbnica pamiątek, przechował w swoim zwyczaju, obyczaju i upodobaniu estetycznym niejedno, co inne warstwy w pochodzie swoim naprzód zagubiły, tak, jak przechował z czasów kazimierzowskich sukmanę, której krój przypomina tak żywo suknię magnatów z owej epoki.

I z tej tylko strony brana „ludowość“ ma dla kultury narodowej znaczenie. Artysta odnajdzie w niej zawsze cenne dla siebie motywy i przyjrzy im się z ciekawością, jak archeolog przygląda się wykopaliskom. Ale motywom tym należy wyznaczyć w dorobku kulturalnym narodu miejsce, jakie jest ich miejscem. Należy odgadnąć i ustalić ich pochodzenie prawdziwe, ale nie trzeba dąć w wielki puzon i trąbić nieoględnie na cztery strony świata o „twórczości ludowej“, o „sztuce ludowej“, „o poezji ludowej“ itd., bo to jest twórczość, sztuka i po-

ezja narodowa. Nie trzeba tembardziej powoływać ludu do tego, aby objął on ster pracy kulturalnej, bo doprowadzi to do dziwolągów, jeśli nie do katastrofy.

Naród nasz będzie najszcześniejszym narodem na świecie, jeżeli tylko warstwy ludowe dorosną w nim do tego, aby stać się współuczestnikami wszystkich dóbr kultury *polskiej*, której polskość nie może być ani ziemiańską, ani burżuazyjną, ani robotniczą, ani chłopską, ale tylko polską. Komsumpcja tej kultury przez wszystkie warstwy da nam równowagę kulturalną, której brak obecnie — i to nas uchroni przed prostactwem a doprowadzi z czasem do szlachetnej prostoty w życiu i w sztuce.

NARODZINY IDEAŁU.

7*

Naród nie może rozwijać się i żyć bez wielkich idei przewodnich. Na horyzontach swojego istnienia musi on mieć jasno płonące światła, ku którym zdąża w najpochmurniejszą nawet noc dziejową, z wiarą, że cel osiągnie, z nadzieją, że jest tego celu coraz bliższy.

Takiem światłem w okresie naszej niewoli była idea niepodległości. Przyświecała ona pokoleniom i pokolenia walczyły o jej urzeczywistnienie. Gdybyśmy nie mieli tej idei, gdyby w Polsce kiedykolwiek nastąpiło naprawdę pogodzenie się z losem, bylibyśmy już oddawna wykreśleni z listy narodów żywych, tak jak byliśmy przez sto lat z górą wykreśleni z listy państw europejskich. Ale „ugoda” z zaborcami, pomimo kilkakrotnie rzucanych jej haseł przez ludzi małych serc, nie znalazła nigdy i nigdzie oddźwięku w duszy narodu. Protest tej duszy nie ustał ani na chwilę. Łamała się ona z najcięższymi warunkami, wpleciona w koło męki, drętwiała z bólu i zacinała się w sobie, nie wyrzekła się jednak za żadną cenę ideału

wolności, ale przekazywała go, jak najdroższą po dziadach puściznę, wnukom i prawnukom. Aż przyszła wreszcie chwila, kiedy ten ideał przybrał kształt cielesny. To, co zdawało się być już tylko marzeniem, ową tęczą poezji, rozpiętą nad narodem przez jego wielkich poetów, oparło się o granit rzeczywistości.

Polska odzyskała niepodległość. Odzyskała swój utracony w katastrofie wieku XVIII-go byt państwowy i stanęła w szeregu wolnych państw europejskich do współżycia z niemi i do współzawodnictwa w wielkiem dziele tworzenia cywilizacji.

Na pokolenie, które tego dożyło, zwałił się niby kawał stropu niebieskiego i olśnił oczy cudem. Zdawało się nam, że obudziliśmy się w światłości, która nasycać odtąd będzie nasze życie światłem dnia nieprzerwanego i niezamąconą radością przepoi serca milionów Polaków.

Nastąpiło tu jednak rychło to, co musiało nastąpić. Ideał urzeczywistniony przestał być ideałem, stał się rzeczywistością, niczem więcej. Polska uzyskała tylko to samo, co posiadały oddawna inne narody i życie zaczęło się w niej układać tak samo, jak gdzieindziej.

Miejsce wielkiego naczelnego ideału, który szedł przed narodem, jak słup Mojżesza, zastąpiła ideologia partyj i stronnictw, spierających się pomiędzy sobą o prymat, walczących nieraz bardzo zaciekle o władzę lub o jej pozory, uprawiających, zarówno po lewicy, jak i po prawicy, demagogję, przeciągającą tłum na stronę tego, kto obiecywał więcej.

Nie zwracano uwagi na to i nie liczone się z tem, co Polska w istocie dać może, ale obiecywano w jej imieniu wszystko. Łachmany, w których powstała z grobu, dzielono pomiędzy masy, jakby to była szata, kapiąca od zbytku, i nikt nie chciał widzieć, że tu i owdzie przeświecać zaczyna bolesna nagość wychudzonego niewolą i steranego w wojnie ciała Ojczyzny.

Zamiast gromadzić dla niej zasoby, nieść jej dary, jak dzieciątku nowonarodzonemu nieśli trzej mędrce myrrhę, złoto i kadzidło, żądano od niej, aby obdzieliła hojnie wszystkich i z pustego swojego skarbcza czerpała bez przerwy i bez rachunku.

W zwadach, swarach, targach zbiegł cały okres istnienia Sejmu konstytucyjnego. W okresie tym nie zleczono żadnej rany, rozjątrzone wiele, zdzierając z nich przysychające ban-

daże. Rozgorzała w kraju walka klas i walka interesów poszczególnych ugrupowań ludności. Wydobyto na jaw wszystko, co dzieli, zapominając o tem, co łączy. „Naród“, jako całość, zrosnięta w jeden organizm społeczny, jakby zniknął z powierzchni ziemi polskiej. Zastąpili go włościanie, robotnicy, proletarjat, obszarnicy, burżuazja, inteligencja, a rzeczownicy każdego z tych stanów ogłaszali, że im się należą rządy, że oni są „narodem“, że przez ich usta mówi „wola zbiorowa“, której nikt o zdanie nie pytał.

I splątało się w końcu wszystko w chaotyczny, nie do rozwiązania węzeł: Polska szlachecka, mieszczańska, robotnicza, włościańska, socjalistyczna i omal nie bolszewicka! Mówiono kolejno o monarchji i rzeczypospolitej, o dyktaturze wojskowej, o rządach robotniczo-włościańskich, o wszechwładzy proletarjatu, aż w tych ciągłych sporach o „uzgodnienie z duchem czasu“ zatracono wszelki zdrowy sens, ów prosty rozum chłopski, który dyktował, iż Polska powinna być przede wszystkim państwem praworządnym, dobrze zbudowanym, silnym, o bezpiecznych granicach i ustalonych zadatkach rozwoju na przyszłość.

Nawet trzeźwe i rozsądne w społeczeństwie elementy, które zrazu krytycznie patrzyły na skłębione dokoła siebie życie, zapędzone do ciasnej klatki ideologii partyjnej, traciły swoją trzeźwość i gubiły rozsądek.

W robocie politycznej łączyły się z sobą dla wspólnych, tymczasowych i przejściowych celów najsprzeczniesze żywioły — skrajny konserwatyzm krakowski ze skrajną lewicą, burżuazyjnie nastrojony włościanin — posiadacz z przeciwnikiem prawa własności — socjalistą. Byle coś utargować.

Widząc rosnącą potencję stronnictw, zaciągali się w ich szeregi ludzie, którzy nic wspólnego nie mieli z programami tych stronnictw i nie mieścili się w nich, a podpisywali niezgodne z własnym przekonaniem deklaracje dlatego, że spostrzegli, iż sami do niczego nie dojdą, że do krzesła poselskiego czy senatorskiego dojechać można tylko na wózku partyjnym. Ten i ów ambitniejszy i bardziej próżny przysiadał się więc na taki wózek lub biegł przy nim, jako „sympatyk“, byle swój cel osiągnąć.

Wskutek tego na arenie życia publicznego coraz częściej zjawiać się zaczęli ludzie, któ-

rych ani charakter, ani wartość moralna nie odpowiadały tej wysokiej próbie, jakiej wymagał trudny okres budowania państwa polskiego.

Zaroilo się na powierzchni naszego życia od *arrivistów* politycznych a po Cyncynatów, którzy gdzieś może i żyli w ukryciu, nikt posłów nie wysyłał.

I tak zaczęło się nie tylko układać ale osadzać i zapuszczać korzenie w głąb psychiki zbiorowej narodu życie Polski, odrodzonej, jako państwo.

Saisonstaat — mówili złośliwie Niemcy, a i my sami, patrząc na to, co się dzieje w rządzie i w urzędach, na politykę eksperymentów, na podnoszącą w kraju leb anarchję, podszywającą się pod hasła wolności, zapytywaliśmy nieraz z goryczą, dokąd to wszystko prowadzi i jaki jest kres tych doświadczeń?

Małą była w tem pociechą świadomość kryzysu, który dotknął po wojnie wszystkie państwa na kontynencie europejskim i sprawił, że wszędzie organizacja życia gospodarczego i społecznego doznała mniej lub więcej silnych wstrząśnień.

Wielu z nas bowiem zdawało się, że właśnie Polska, wydzwignięta z otchłani mroku na

światło, przejrzeć powinna była szybciej i widzieć ostrzej, niż inne państwa, że wolność odzyskana powinna była być dla jej obywateli cementem, spajającym wszystkich, a nie drzazgą niezgody, że w ogniu miłości, a nie w płomieniach nienawiści powinno było wykuwać się na kuźni dziejowej jej szczęśliwe jutro.

I dzisiaj jeszcze niejedyn Polak o czystym sercu i bezinteresownem uczuciu dla Ojczyzny nie rozumie, dlaczego tak się stało, dlaczego ten pierwszy okres wolności zatruliśmy sobie sami jadem tyłu trucizn, gdzie i w czym tkwi przyczyna tego zjawiska, które bez mała może być utożsamione z zamachem samobójczym?

Na szczęście, zamach ten się nie udał. Jesteśmy uratowani, bo oto bielmo narodowi spada z oczu i zaczyna on jasno widzieć swoją rzeczywistość.

Zakończone świeżo wybory do Sejmu i do Senatu dowiodły, że ogół polski dość ma programów partyjnych i mętnej ideologii stronnictw, że szuka on haseł wyraźnych i ideałów przewodnich o konturach określonych. Nie interesują go półtonowe zabarwienia. Chce on nazywać białe białem a czerwone czerwonym. Szuka linii demarkacyjnej pomiędzy tem, co

jest dla narodu, jako całości, pożyteczne, a tem, co jest dla tej całości szkodliwe i dzieli się coraz zdecydowaniej na dwa obozy: obóz ładu, porządku i zorganizowanej pracy, oraz na obóz mętnych i jałowych mędrkowań politycznych, które utrzymują w państwie polskiem stan „tymczasowości“ i nie pozwalają na skryształowanie się polskiej idei państwowej.

Nie trudno przewidzieć, że w obozie pierwszym w niedługim czasie znaleźć się muszą wszystkie żywioły, dla których państwo polskie nie jest państwem „sezonowem“, lecz ostoją i oparciem na dalekie, najdalsze jutro dziejowe. I to niezależnie od barw politycznych.

Dla baczego obserwatora stosunków polskich nie jest tajemnicą, że oto w tym momencie, pełnym jeszcze fermentowania i burzliwych procesów wewnętrznych, zaczyna się już w „kadzi narodowej“ spokojniejszy ruch wirujących idei, na powierzchnię zaś życia wpływa ideał, zdolny do połączenia wszystkich i nasycenia wszystkich swoją treścią, jak niegdyś łączył i nasycał nas wszystkich, „białych“ i „czerwonych“, ideał niepodległości. Jak tamto było najprostszem sformułowaniem tęsknot, aspiracji i dążeń całego narodu, tak

i dzisiaj ideału wolnej Polski nie trzeba szukać daleko.

Tworzy go nie ideologia partyj i stronnictw, ale samo życie, którego prawom niezłomnym podporządkowani jesteśmy wszyscy.

Woła ono do nas wielkim głosem o siłę i potęgę państwa polskiego, o wzmocnienie węzłów jego budowy, o podparcie rysujących się jego ścian, o związanie ich u góry kopułą, która połączy nas wszystkich w dążeniu do światła.

Woła ono tak samo do elity narodowej, jak i do szerokich mas *o ideał dobrobytu, o ideał oświaty, o ideał zgody społecznej i o ideał służby Ojczyźnie.*

To są podstawy. Na nich jedynie zbudować możemy mocny i zdolny do oparcia się wszelkim burzom gmach Ojczyzny, gmach państwa polskiego, którego jesteśmy wolnymi obywatelami.

Kto nie pragnie, aby Polska cieszyła się dobrobytem, aby poziom oświaty powszechnej, a więc i moralności stale się w niej podnosił, torując drogę do pojednania, kto nie służy Ojczyźnie bezinteresownie, ale przy jej ogniu własną pieczęć na partyjnym obraca różnie,

ten państwu polskiemu nie na pożytek, lecz na szkodę działa, podpiłowując świadomie lub nieświadomie gałąź, na której sam siedzi. Młode, idące naprzód życie, prędzej czy później stratuje go i odrzuci na bok, skupiając się samo coraz gęściej i szczelniej pod chorągwią powszechnego ideału, któremu na imię *Polska*. Nic więcej tylko ten jeden wyraz.

IDEAŁ DOBROBYTU.

Siła materialna państwa zależy od dobrobytu jego mieszkańców. Jeżeli ludność danego kraju jest uboga, jeśli walczy ciągle z niedostatkiem, to choćby nie wiem jak wybitny genjusz państwowo-twórczy zabrał się do wytworzenia z tego kraju silnego państwa, usiłowania jego rozbijają się o brak środków, niezbędnych do przeprowadzenia najelementarniejszych planów.

Czy można bowiem mówić o silnej i dobrze zorganizowanej armji w kraju, którego skarb jest pusty? Czy można dać takiemu krajowi bez pieniędzy sieć komunikacyjną, któraby mu zapewniła obronę w razie inwazji nieprzyjacielskiej?

Czy można uposażyć jego urzędników tak, aby oddali się oni całkowicie na usługi machinie państwowej i czuwali dniem i nocą nad sprawem jej działaniem?

Czy można wogóle zaspokoić jakąkolwiek szerzej pojętą potrzebę państwa bez zasobnego skarbu, który nie jest skrzynią z bajki, pełną

złota i drogich kamieni, ale musi być stale zasilany drogą słusznym i rozumnie rozłożonym na ludność podatków.

Pierwszą tedy zasadą siły państwa jest jego skarb, na którego zasoby składają się wszyscy tego państwa obywatele. Aby jednak składać się mogli, aby system podatkowy nie rujnował ich i nie strącał w nędzę, skala dobrobytu średniego musi być w dobrze zorganizowanym państwie taka, aby każdy mógł podolać ciężącym za nim obowiązkom. Państwo nie może bowiem wydzierać płatnikom swoich podatków ostatniego kęsa chleba, ale ma prawo do położenia wszechwładnej ręki dopiero na tej nadwyżce ich dochodów, która pozostaje wolną po zaspokojeniu najpierwszych potrzeb. Dlatego ideał dobrobytu jest w tym samym stopniu ideałem państwa, w jakim jest on ideałem każdej pracowitej jednostki.

Zgodność tego zasadniczego ideału ułatwia ogromnie porozumienie pomiędzy państwem a jego obywatelami w zakresie wspólnych dążeń do wytworzenia siły materialnej, zapewniającej państwu, a więc i wszystkim jego obywatelom, zaspokojenie potrzeb zbiorowych. Dlatego ideał dobrobytu jest najpowszechniej-

szym ideałem wszystkich społeczeństw ludzkich, a zwłaszcza tych, które są zorganizowane w państwa i rozumieją cel i znaczenie tej organizacji.

Nie jest więc wcale grzechem przeciw idealizmowi dążenie do dobrobytu wszystkich obywateli państwa, bo pokrywa się ono całkowicie z dążeniem do wzrostu siły i znaczenia państwa, w którym, jako w organizacji zbiorowej, zbiega się ogół interesów narodu, nie wyłączając najbardziej idealnych.

Nie może też być programu państwowego, opartego na poczuciu rzeczywistości, a opromienionego gwiazdą ideału, świecąca na horyzoncie przyszłości narodowej, któryby negował dobrobyt, jako jedno z podstawowych swoich dążeń.

Państwo, które jest regulatorem stosunków gospodarczych na szerokim terenie walczących z sobą interesów poszczególnych warstw i ugrupowań społecznych, musi dbać jednakowo o wszystkich swoich obywateli i popierać wszystkich w ich wysiłku ku polepszeniu swego bytu, bo tem samem polepsza swój byt i zapewnia sobie istnienie. W programie państwowym mieszczą się więc bez zastrzeżeń hasła wszystkich partyj politycznych, wśród których

niema ani jednej, która nie obiecywałaby swoim zwolennikom dobrobytu, jako punktu wyjścia do dalszych reform, mających na widoku osiągnięcie w społeczeństwie stanu powszechnego zadowolenia.

Szczególnie hasłem tem operują te ugrupowania polityczno-społeczne, które mają do czynienia z szerokimi masami ludu. Dla tych mas dobrobyt jest na razie alfą i omegą ich życzeń i dlatego obietnica dobrobytu pociąga je silniej, niż wszystkie, razem wzięte, ideały niematerialne. Z tem liczyć się należy.

Niezrozumieniem istoty rzeczy grzeszą ci z pośród nas, którzy skłonni są do twierdzenia, że zło i zamęt naszego życia politycznego płynie stąd, że grupy lewicowe poszły pomiędzy masy z utopijnym programem dobrobytu dla wszystkich.

Nie. To jest najzupełniej zgodne nie tylko z założeniami wszystkich innych grup, lecz i z założeniem państwa, które musi mieć na widoku dobrobyt narodu. Jeżeli zaś zapanowanie takiego dobrobytu z dzisiaj na jutro jest utopją, to powolne podnoszenie się jego skali jest rzeczą najzupełniej realną i gdybyśmy nie mieli wiary w to, iż życie postępuje ciągle naprzód, wszyst-

kie nasze wysiłki straciłyby swój sens. Na szczęście, mamy niezaprzeczone dowody tego, że praca przynosi zawsze owoce i że naród, jako całość, powoli dźwiga się do coraz lepszego bytu.

Nie jest więc błędem ani ze stanowiska społecznego, ani ze stanowiska państwowego głoszenie ideału dobrobytu powszechnego.

Natomiast błędem, a często zbrodnią są metody popularyzowania tego ideału wśród ciemnych umysłów i zawistnych serc.

Doktryna socjalistyczna ani nawet komunistyczna same przez się nie są złem, które należałoby *a limine* potępić. Złem natomiast, z którym należy bezwarunkowo walczyć i to wyraźnie w imię ideału dobrobytu powszechnego, są stosowane przez agitatorów tych doktryn metody budzenia nienawiści klasowej i zachęcania do walki klas. Socjalizm chce, aby robotnik zawdzięczał swój dobrobyt nie skoordynowanemu wysiłkowi całości narodowej, lecz partji socjalistycznej. Ona tylko powinna być jego dobrodziejem. Z jej rąk powinien on otrzymać wszystko. To bowiem, co jest poza partją, zajmuje stanowisko wrogie robotnikowi, pragnie jego uciemnienia i niewoli, ciemnoty i upośledzenia.

Jest to wierutny fałsz, szerzony świadomie, albowiem niema i nie może być obywatela, zdającego sobie sprawę z tego, czem jest naród i państwo, któryby nie pragnął dobrobytu dla wszystkich warstw i stanów, lub który ociągałby się ze złą wolą w przyspieszeniu błogosławionego momentu, pozwalającego brać udział rzeczywisty w życiu wszystkim członkom społeczeństwa, których prawo do chleba, do oświaty i do pracy jest jednakowe w wolnym narodzie.

Podniesienie skali dobrobytu robotnika i włościanina leży tak samo w ich interesie, jak w interesie fabrykanta i właściciela ziemskiego, bo leży w interesie całości narodowej i w interesie siły tego państwa, które ta całość stworzyła i którego chce bronić do ostatniej kropli krwi, jako twierdzy swojej wolności i swoich praw.

Tymczasem ani robotnikowi w mieście, ani fornałowi na wsi nie mówi się tego. Socjalizm i komunizm przychodzą do niego z ideą wręcz przeciwną, która wyodrębnia proletarjat materialny z całości narodowej i mówi do niego, dając mu niemal nóż do ręki: „bracie, weź, bo zbawieniem rzeź“. „Złej godziny to są mary“, wśród tych mar jednak żyjemy nieustannie i to

nie co innego zaognia dzisiaj tak bardzo stosunek pomiędzy „prawicą“ a „lewicą“, jątrząc przeciw sobie obydwie strony.

Tymczasem w istocie stosunek ten mógłby być zgoła innym, gdyby po jednej i po drugiej stronie ustalono wspólność ideału zasadniczego.

Ideałem tym jest dobrobyt narodu. Pod tym względem niema żadnych różnic pomiędzy najbardziej lewym a najbardziej prawym skrzydłem opinji. Nawet elementy, które nie uznają ani narodu, ani państwa, temu ideałowi się nie przeciwstawiają. Idzie więc tylko o drogi, któremi dojść można do tego ideału, o metody walki o lepsze jutro dla wszystkich, a więc znów o siłę i potęgę państwa.

Idea silnego państwa może więc tu z sobą spoić nawet te programy partyjne, które pozornie są w zaciętej i nieprzejednanej walce z sobą i zmusić je do zaniechania metod, szkodliwych dla państwa a do kierowania się pożytkiem tego państwa, jako wspólnego wszystkim domu.

W ten sposób da się osiągnąć zgoda społeczna, ów pokój obywatelski, niezbędny do tego, aby życie szło naprzód, a nie jak ów wóz

Kryłowa, ciągniony przez łabędzia, raka i szczupaka, stało w miejscu.

Widzimy tedy, jakiej wagi czynnikiem społecznym jest ideał państwa silnego. Gdyby w Polsce współczesnej ta idea zapanowała we wszystkich mózgach, gdyby w kierunku jej realizowania wyteżyły się wszystkie wole, mielibyśmy niewątpliwie przed sobą inny obraz niż ten, na jaki z goryczą patrzą obecnie nasze oczy.

Nie jest to niemożliwe, ale potrzeba do tego dwóch rzeczy. Naprzód, aby państwo przestało być wyrazem, wymawianym przez nas bez należytego zrozumienia i odczucia tkwiącej w tem pojęciu treści. Powtóre, abyśmy, doszedłszy do uzgodnienia swoich poglądów na państwo, uznali potrzebę ofiar nieustannych na jego rzecz, ofiar, płynących nie z przymusu, ale z nakazu wewnętrznego, z poczucia obowiązku obywatelskiego, przed którego spełnieniem nikt się uchylić nie może. I to nie tylko ofiar materialnych, mających na widoku utworzenie silnego skarbu, lecz i ofiar moralnych, które „*pro publico bono*“ muszą być złożone na ołtarzu daństwa. Państwo bowiem, jako takie, jest i będzie w położeniu bez wyjścia, jeżeli walczące

dzisiaj z sobą lewica i prawica nie zmieniają metod, stosowanych w tej walce. Gdy jedna strona woła ustawicznie „strzyżone“, a druga „golone“, wówczas snadnie obie pójdą na dno, uniesione przez prąd wydarzeń, a razem z nimi pogrąży się w odmęt i państwo, będące terenem ich współzawodnictwa.

Co jak co, ale *ideal dobrobytu* tą drogą z pewnością się nie urzeczywistni, jak nie urzeczywistnił się dotychczas.

Szerokie warstwy ludności, oszołomione początkowo szybkim podnoszeniem się skali zarobków, w czym widziały spełnienie obietnic, dawanych im przez partję socjalistyczną, jako organizatorkę strajków wymuszających, dzisiaj zaczynają już rozumieć, że dobrobyt ich nie powiększył się wcale lub powiększył się tylko bardzo mało, że przy pozornie wysokich wynagrodzeniach za pracę, w istocie rzeczy są one płatne gorzej niż przed wojną, bo w relacji do złota otrzymują coraz mniej. Nadto fatalny stan waluty i ciągła jej dewaluacja odcina im drogę do oszczędności i zmusza do niezwłocznego spożywania wszystkich owoców swojej pracy. I to właśnie sprawia, że naród i państwo ubożeją. Zasoby ich, gromadzone w pieniądzu papiero-

wym, drukowanym bez rachunku, są jak śnieg, który topnieje, bo stopnieć musi. W ten sposób przy głoszonem powszechnie hasle dobrobytu dla wszystkich, co powinno dać siłę państwu, doprowadziliśmy państwo do zupełnego wycieńczenia, tak, że zdobyło ono sobie na zewnątrz opinię bankruta. Czas jeszcze z tej drogi nawrócić. Ale jutro już może być zapóźno. I jeżeli nie zrozumiemy dzisiaj, że ideał dobrobytu ogólnego nie może być nierealnem hasłem tej lub innej partji, ale musi być realnym wysiłkiem całego narodu, to nigdy *silnego państwa* z Polski nie wytworzymy.

IDEAŁ OŚWIATY.

Obok siły materialnej, którą wytwarza praca i osiągniany przez nią dobrobyt mieszkańców, państwo, chcąc istnieć i rozwijać się, musi posiadać jeszcze ogromny zasób sił moralnych, które nadają kierunek życiu zbiorowemu. Siły te sprzęgają dusze i umysły poszczególnych obywateli, wytwarzając wspólną psychikę i wspólny intelekt narodu.

Pozbawione takich sił zbiorowisko ludzkie nie stanie się nigdy narodem, zaś naród, który ma niedostateczną ilość tych sił lub w którym te siły nie są skoordynowane, ale działają w rozsypkę, nie wytworzy nigdy państwa potężnego.

Obywatele państwa, opartego na ideale dobrobytu, a pozbawionego współczynników moralnych, będą związani z sobą tylko mechanicznie i przy pierwszym lepszym wstrząśnieniu, któremu ulegnie życie gospodarcze, zrujną państwo, broniąc jedynie swoich interesów materialnych. Wręcz przeciwnie, państwo, które opiera się na duchowym i umysłowym

wym związku, istniejącym pomiędzy jego obywatelami, przetrzymać może nawet najcięższą katastrofę i wyjść z niej zwycięsko, dzięki sile moralnej, łączącej poszczególnych członków narodu w jeden świadomy swoich celów i zadań organizm państwowy, dla którego obrony, mocy i trwałości każdy powinien ponosić jaknajdalej idące ofiary mienia i krwi, aż do poświęcenia życia, gdy tego zajdzie potrzeba.

Dlatego, mówiąc o *państwie silnem*, musimy mieć na widoku zawsze obok jego siły materialnej także i jego siły moralne.

Pomnażanie tych sił w narodzie jest pierwszym zadaniem wszystkich, którzy uważają się za współtwórców państwa i chcą współpracować jego rozwojowi.

Niema więc i nie może być programu politycznego, stojącego na gruncie własnej państwowości, który obok ideału dobrobytu nie stawiałby *ideału oświaty*, jako jedynej drogi, prowadzącej do ułatwiania obywatelom, należącym do różnych warstw społecznych i reprezentującym różne, często sprzeczne z sobą interesy materialne, porozumienia się pomiędzy sobą na gruncie moralnym.

Porozumienie takie jest konieczne. Ma ono na celu, jeżeli można tak powiedzieć, wytworzenia wspólnego języka, zrozumiałego dla wszystkich, a więc jednakowo dla góry, jak i dla dołu społeczeństwa.

Tragedją naszych czasów jest to, że pomiędzy tą górą a dołem istnieją przepaściste różnice. W wielu przypadkach nie możemy się dobrze zrozumieć. Elita społeczna myśli i czuje innemi kategorjami, a proletarjat innemi. Ideały i ukochania pierwszej nie są ideałami i ukochaniami drugiego. Po jednej stronie biją krynice światła, wschodzi słońce nieśmiertelnych prawd naukowych, rozpina swój łuk siedmiobarwny tęcza poezji, po drugiej panuje nieprzedarty mrok umysłów i dziecięca naiwność serc. Po jednej stronie stoi rozum i doświadczenie, po drugiej łatwowierność, która wierzy każdej bajce, co tak umiejętnie wyyskuje na swoją rzecz demagogja.

Jesteśmy członkami jednego narodu, jesteśmy w braterskim pomiędzy sobą związku, nasze prawa i obowiązki w państwie demokratycznym są jednakowe, siła i potęga tego państwa muszą być naszym wspólnym celem,

a często nie możemy się „dogadać“ tam właśnie, gdzie idzie o tę siłę i potęgę.

Zgotowało nam to już wiele bolesnych zawodów w ciągu czteroletniego istnienia Polski niepodległej, zgotuje ich jeszcze więcej, jeżeli nie spojrzymy tej prawdzie w oczy i nie wzmocnimy węzłów moralnych, łączących nas ponad węzłami materialnymi i niezależnie od nich w naród.

Węzły te są w Polsce współczesnej wskutek długoletniej niewoli i specyficznych warunków, w jakich rozwijało się nasze życie, zwłaszcza w zaborze rosyjskim, bardzo słabe.

Gdyby były silniejsze, waśń społeczna nie miałaby w tej chwili gruntu do rozrostu. Przeciwnie, złagodniałaby pod wpływem odzyskanej przez naród wolności, ustępując z drogi przemożnemu ideałowi państwa silnego, jako jednoczącej wszystkich zasadzie.

Niestety, oglądamy co innego. Nigdy jeszcze egoizmy partyjne nie przybrały tak ostrej postaci i nie wystąpiły tak jaskrawo na jaw, jak obecnie. Jesteśmy w okresie wojny obywatelskiej, która toczy się na szczęście bez rozlewu krwi, ale która do tego rozlewu może doprowadzić przy lada jakim silniejszym po-

drażnieniu, bo już nie przyczyn brak, ale tylko powodu do walki na noże.*)

A przecież, jeżeli z drugiej strony przyjrzymy się naszym uprępowaniom politycznym, to stwierdzimy z łatwością, że tak samo, jak niema wśród nich żadnego, które wyrzekłoby się ideału silnego państwa, niema również żadnego, które zaprzeczyłoby potędze siły moralnej, łączącej obywateli państwa w naród, jako związek kategorii wyższej, obejmujący poszczególne warstwy i stany w jedną duchowo i intelektualnie spojona całość, a tem samem nie wypisałoby na swoich chorągwiach hasła *oświaty*, jako ideału obowiązującego.

Ideał oświaty ma więc te same znamiona powszechności, co ideał dobrobytu. Jest on koniecznem jego dopełnieniem, co w równej mierze z idealistą uznać musi skrajny materialista, który rozumie, że bez oświaty nie może być osiągnięta ani wyższa skala dobrobytu, ani też dobrobyt osiągnięty nie może być właściwie użyty.

*) Wydarzenia z dnia 11 i 16 grudnia 1922 r. aż nadto wymownie dowiodły słuszności powyższych przewidywań. Oby jaknajrychlej wyciągnięte stąd zostały odpowiednie wnioski.

Wiemy z doświadczenia, że warstwy dolne, podnosząc się materialnie a nie podnosząc jednocześnie swojego umysłowego i duchowego poziomu, nie stają się wcale spożywcami kulturalnych dóbr narodu i nie mogą brać żadnego udziału w ich wytwarzaniu, aż dopiero wówczas kiedy pojemność ich umysłów i dusz rozszerzy się o tyle, że znajdzie się tam miejsce na to, co jest poza obrębem potrzeb zmysłowych, a co stanowi największe wartości życia wogóle, a życia narodowego w szczególności.

Nie przez co innego ale przez oświatę, przez otwarcie oczu na prawdę myśli i na prawdę uczucia, obywatel państwa urasta na świadomego siebie człowieka i na świadomego swoich obowiązków członka narodu.

Robotnik, włościanin, sklepikarz, stojący dzisiaj na gruncie swoich interesów klasowych i w imię doktryny socjalistycznej, chłopowładczej czy małomieszczańskiej przeciwstawiający się wielkiej burżuazji, a nawet proletariatowi inteligentnemu, przez oświatę jedynie wejść mogą do całości narodowej i zdać sobie sprawę z interesu tej całości polskiej, która w państwie polskiem ma swój wyraz i która wymaga, aby wszyscy, niezależnie od swojej

hierarchji społecznej, czuli się przede wszystkim Polakami, a potem dopiero robotnikami, włościanami i sklepikarzami.

Konstytucja nasza nie zna terminu „poddany“. Zna tylko termin „obywatel“, jakże jednak wielu z naszych współobywateli nie rozumie jeszcze głębokiej treści, która tkwi w tym wyrazie, jak lekko traktuje to swoje obywatelstwo, a więc i swoje wielkie, wynikające z tego obywatelstwa prawa.

Jak wielu mamy jeszcze wśród siebie „mieszkańców“ państwa polskiego, a nie „obywateli“ Rzeczypospolitej, których rozum, wola i serce współdziałałyby jej potędze.

Ileż kamieni rzucono pod nogi tej właśnie Rzeczypospolitej, „matce wszystkich“, która obdarzyła nas najliberalniejszą konstytucją i zawarowała nam wolność, o którą gdzieindziej obficie lała się krew. Kamienie te padały, jeśli nie bezpośrednio ze strony warstw nieoświeconych, to rzucone w ich imieniu, przez ich sfanatyzowanych albo ze złą wolą działających prowodyrów, którzy interes swojej partji postawili przed interesem Ojczyzny.

Jest rzeczą niewątpliwą, że te warstwy, gdyby stopień ich oświaty, a więc i stopień ich

poczucia moralnego były wyższe, nie zawsze dawałyby sankcję na to, co się zwykło w polityce czynić w ich imieniu i dla ich dobra.

Agitator mówi dzisiaj ciemnym masom, że upośledzeniu ich winien jest ustrój społeczny, że przeto ten ustrój, oparty na niesprawiedliwości, należy zwalczać. W ten sposób znajduje posłuch i szerzy się szkodliwa i niebezpieczna dla państwa idea wywrotu.

Tymczasem ten popularny pogląd, łatwo czepiający się umysłów niewyrobionych i niedouczonech, nie ma już dzisiaj żadnego poparcia w nauce.

Jest on wydobyty z lamusu idei, któremi posługiwała się wielka rewolucja francuska. Zasadę tę wygłosił genialny pod pewnemi względami, ale naiwny w istocie Jan Jakób Rousseau i na przestrzeni z górą stulecia wszystko tej właśnie zasadzie przeczyło.

Wiara Rousseau'a w przyrodzoną dobroć natury ludzkiej upadła już w nas całkowicie. Dzisiaj wiemy, że nie ustrój społeczny jest winien, ale sam człowiek, twórca tego ustroju, nienasycony w chęci zysku i zdobywania siły, dającej mu przewagę nad słabszym, że przeto nie rewolucja społeczna może doprowadzić do

istotnej poprawy stosunków, lecz jedynie rewolucja duchowa, przekształcająca psychikę człowieka i dająca jego umysłowi idee wyższe, szlachetne i twórcze.

Tylko bowiem człowiek mądry i sprawiedliwy może stworzyć mądry i na sprawiedliwości oparty ustrój.

I znów do tej jedynej rewolucji, jakiej można pragnąć i dla jakiej „duch, wieczny rewolucjonista“ pracuje w każdym z nas, jedna tylko prowadzi droga — *oświata*.

W miarę tego, jak zataczać ona będzie coraz szersze kręgi, jak garnąć się ku niej poczną te miliony ludu polskiego, którym brak dzisiaj nietylko wątku myślowego, lecz i wątku uczuciowego do przerabiania swojego stosunku indywidualnego do życia na stosunek do całości narodowej, a więc do Ojczyzny i państwa; w miarę jak nieczytelny i niepiśmienny dzisiaj mieszkaniec Rzeczypospolitej urastać będzie w sobie do miary obywatela, obejmującego umysłem i sercem przeszłość i teraźniejszość, a wybiegającego gorącym ukochaniem ideału w przyszłość narodu — wzrastać będzie siła moralna tego narodu, a więc i siła państwa polskiego.

Porozumienie pomiędzy nami, mimo dzielących nas jeszcze różnic, stawać się będzie coraz łatwiejsze i coraz bliższe, aż doprowadzi do zgody społecznej poważnione dzisiaj klasy, bo spostrzegą one, że ponad tem, co je dzieli, stoi to, co je łączy.

IDEAŁ ZGODY SPOŁECZNEJ.

IDEAL NOOK SPORTS

Pewien Anglik, przebywający stale na kontynencie europejskim, zapytany, dlaczego opuścił Ojczyznę, odpowiedział: „Kocham Anglię, nienawidzę Anglików“.

Można się obawiać, że ten paradoks znajduje obecnie coraz więcej wyznawców w Polsce, gdzie z dniem każdym przybywa ludzi, którzy, gdyby mogli, opuściliby na czas dłuższy kraj ojczysty, aby nie widzieć i nie odczuwać tego, co się w nim dzieje.

Nie są to jednak dobrzy obywatele. Nie są to ci, którzy kochają Ojczyznę naprawdę. Kochają oni przede wszystkim siebie i swój spokój. Absenteizm dobrowolny uprawiały zawsze i wszędzie tylko te warstwy, których związek z Ojczyzną był najslabszy. Mocno z nią związani Anglicy czy Polacy pozostaną zawsze na miejscu i w najcięższych nawet chwilach walczyć będą o lepsze jutro Anglii i Polski.

Taką chwilę ciężką przeżywamy obecnie. Orgja nienawiści partyjnej rozszalała się w kraju. Polacy, co do których nie można mieć wąt-

pliwości, że wszyscy kochają Ojczyznę, nienawidzą się wzajemnie. Wykładnik tej nienawiści mamy w naszych ciałach prawodawczych, gdzie prawica z lewicą nie mogą dojść do porozumienia. Nienawiść ta przeniosła się już na ulicę i doprowadziła do przelewu krwi bratniej. I to jednak nie dało hasła do opamiętania. Widmo wojny domowej nie przestaje zastępować nam drogi.

Ostatnia godzina, w której kompromis jest możliwy, bije. I tu znów stajemy w obliczu interesu państwa, którego całość i siła jest ideałem, jednoczącym wszystkie partje.

Niema takiego ugrupowania politycznego, któreby nie zdawało sobie sprawy z tego, że „zgodą rosną nawet rzeczy małe, od niezgody rozpadają się największe“; niema także wśród ludzi, zajmujących się w Polsce polityką i za tę politykę wobec narodu i państwa odpowiedzialnych, ani jednego, któryby przeciwstawiał się elementarnej prawdzie psychologicznej, uznającej *miłość* za czynnik twórczy, a *nienawiść* za czynnik rozkładowy.

Na kartach naszej historii, w wiekopomnym akcie Unji Horodelskiej, jak klejnot drogocenny, świeci *miłość*, ona jedna, która „nie

działa marnie, kładzie koniec niezgodom, uśmierza swary, ukróca nienawiści, łagodzi waśnie, używa wszystkim pokoju, skupia, co się rozpierchło, podźwiga, co upadło, wygładza rzeczy szorstkie, prostuje krzywe, wszystkim pomaga, nikogo nie obraża, kocha każdego, a ktokolwiek schroni się pod jej skrzydła, ten znajdzie bezpieczeństwo i nie ulęknie się gróźb niczyich.“

Naród, który z górą przed 500 laty (1413 roku) złożył podobne wyznanie wiary, czyliż może dzisiaj pogasić takie, jak to, światła na swojej drodze i zanurzyć się w odmęt waśni domowej, która osłabia i niszczy wiązania państwa i grozi nam przewlekłą i długą chorobą?

Gdzież jest obywatel, któryby powiedział, że waśń jest drogą jedyną i właściwą do zdobycia siły, do utrzymania bytu państwa?

Nikt tego nie powie ani po prawicy, ani po lewicy. Wszyscy oświadczają się za szkodliwością obecnego stanu rzeczy, a jednak z żadnej strony nie widać chęci do podniesienia gałęzi oliwnej, tak mocne są kłamry partyjne, w które ujęci najuczciwsi nawet ludzie z jednej i z drugiej strony dadzą się w milczeniu używać za narzędzie osłabiania Polski.

Buffon, który nie był przyjacielem pszczół, tak o nich mówił:

„Gdyby te indywidua były nawet tysiąc razy głupsze, niż przypuszczam, byłyby zmuszone, chcąc zapewnić sobie istnienie na świecie, szukać sposobów zachowania życia. Wyposażone w jednakowe siły i organa, o ile zaczną zwalczać się wzajemnie, przez samo już ciągle szkodzenie sobie, dojść muszą do szkodzenia sobie coraz to mniej, aż w końcu przestaną sobie szkodzić, czyli zaczną sobie pomagać. Wówczas wyda się, że doszły do porozumienia i zmierzają do jednego i tego samego celu“.

Obcy obserwatorowie naszego „ula narodowego“ muszą niejednokrotnie, patrząc na nas, myśleć podobnie do Buffona i dziwić się, że tak mało dbamy o „zapewnienie sobie istnienia na świecie“, że tyle sobie szkodzimy, a tak mało pomagamy wzajemnie.

A może istotnie zgoda narodowa i zgoda społeczna są u nas nie do osiągnięcia? Może sprzeczności, istniejące pomiędzy naszymi obozami politycznymi, są tak wielkie, że dobrą wolą mostu nad dzielącą je przepaścią nie zbudujemy?

Sprzeczności te same lub pokrewne istnieją wszędzie, we wszystkich narodach i państwach, bo płyną one z istoty życia, bo tak jak iskra elektryczna powstaje dopiero z połączenia elektryczności dodatniej z ujemną, tak samo iskra życia jest wynikiem zetknięcia się dobra ze złem.

A jednak Anglja bez cierpień i wstrząsów przeżywa kolejne przechodzenie władzy z rąk liberalistów do rąk konserwatystów, w Stanach Zjednoczonych demokraci ustępują bez nienawiści pola republikanom, czekając aż na nich znów kolej przyjdzie. Francja w ciężkich chwilach zdobyła się na swoją *l'union sacrée*, Niemcy na *Burgfriede*.

I niema najmniejszego powodu do przypuszczenia, iż naród polski, w istocie rzeczy najłagodniejszy i najmniej skłonny do rozlewu krwi, powiedzmy nawet, najłatwiejszy do rządzenia, bo bądźco bądź głęboko mający wpojona w duszę etykę chrześcijańską, miałby pod tym względem stanowić wyjątek.

Zło tkwi nie w naturze narodu, ale w jego strukturze, nie wykończonej jeszcze, w fałszywym układzie sił politycznych, co jest wynikiem opóźnionego o stulecie rozwoju społecznego.

Nie posiadliśmy w swoim czasie silnego i zawartego stanu trzeciego, nie odegrał on u nas takiej roli na przestrzeni wieku XIX-go, jaką odegrał naprzód we Francji, a potem na całym zachodzie, i oto teraz spożywamy gorzki owoc z drzewa naszej niewoli.

Nienawiść przeciwko szlachcie, przeciwko panom, przeciwko inteligencji może być w masach ludowych tak szeroko wyzyskiwana przez demagogję lewicową tylko na tle przeżytków historycznych, które gdzieindziej dawno już przekształciły się w nowoczesne formy walki interesów, a nie walki ludzi, rzucających się sobie do gardła w imię ciasnej ideologii, którą życie niebawem porwie na strzepy, bo woła ono coraz głośniej o ideały, a nie o doktryny.

A nasze, polskie ugrupowania polityczne z jednej i drugiej strony żyją doktrynami. Cały tabor przedwojennych rupieci przywłókł się za nimi z „domu niewoli“ do wolnej Polski.

Żadna z naszych partyj nie miała tej odwagi, aby, stanąwszy na gruncie odzyskanej Ojczyzny, zostawić swoje tobołki po tamtej stronie granicznej linii dziejowej, a wejść do nowego domu „naga i w Styksowym wykapaną mule“.

„Programy“, które wystarczały przed laty 20-tu i 30-tu, bo zbudowane były, jak na fundamencie, na wspólnym wszystkim ideale niedługości, dzisiaj w stosunku do żyjących potrzeb narodu i państwa świecą na każdym kroku miazmami. Braki ich są jasne dla wszystkich, ale nie wszyscy mają odwagę przyznać to otwarcie.

Te same błędy popełnia prawica i te same błędy popełnia lewica, bo obie „wyposażone są w jednakowe siły i organa“, obie składają się z jednakowego elementu obywatelskiego, z tych „pszczoł“, które zaludniają ul polski i które winny pomagać sobie, a nie przeszkadzać w osiągnięciu wspólnego celu, jakim jest całość uła.

Z jednej i z drugiej strony, od prawego i lewego bieguna polityczno-społecznego Polski powojennej, słyszymy nieustannie morał o nauce Rzeczypospolitej, o potrzebie obrony prawa i konstytucji i, o dziwo, w obronie tego prawa i konstytucji wyprowadzone już zostały na ulicę chorągwie czerwone z napisem „Niech żyje rewolucja socjalna!“ A tymczasem i prawo i konstytucja są u nas nieustannie zagrożone, przyczem jedna strona spycha zawsze winę na drugą.

Prasa lewicowa roi się od inwektyw na prawicę i, odwrotnie, prawica oskarża lewicę. Zdaćby się mogło, przy omijaniu zasady *audiat et altera pars*, że po jednej stronie zgrupowali się sami ludzie uczciwi i prawi, Polacy naprawdę kochający Polskę, po drugiej — świadomi szkodnicy, wrogowie narodu i państwa. Przytem lewica mówi o sobie, że jest tą uczciwą stroną, a prawica o sobie.

Stąd powstaje w umysłach zamęt i stąd płynie rozbitcie społeczeństwa na dwa obozy wrogie, z których każdy uważa, iż prawda jest po jego stronie, iż posiadał on wyłączny monopol na nią. Stąd rośnie roznamiętnienie w walce, którego nie znaleźliśmy nawet w okresie walk religijnych.

Ta sama Polska, która słyndła wówczas z tolerancji dla inowierców, która na ziemi swojej dawała przytułek lutrom i kalwinom, w której powstały dziesiątki zborów arjańskich, którą Jan Komeński, wódz prześladowanych braci czeskich, uznał za drugą swoją ojczyznę, nie może dzisiaj pogodzić u siebie dwóch sprzecznych prądów myśli, dwóch strumieni, które prędzej czy później muszą złączyć się w jeden i spłynąć do jednego wspólnego łożyska, bo na-

ród w rozdwojeniu długo żyć nie może. Musi on stanąć wobec nieuniknionego dylematu: albo razem do siły i potęgi państwa polskiego, albo osobno — do zguby.

Dlatego porozumienie i zgoda, prowadząca do pokoju obywatelskiego, który jedynie zapewni rozwój prawidłowy wszystkich sił narodu i stały ich przyrost, tak niezbędny wobec sąsiedzkich naszych stosunków, stanowią dzisiaj *conditio sine qua non* istnienia państwa polskiego.

A teraz zapytajmy, czy rozporządamy środkami, które mogłyby dzisiejsze rozjątrzenie wzajemne zagoić i do kompromisu doprowadzić?

Czemże jest kompromis? Niezem, tylko wzajemnem ustępstwem. Gdyby owe dwa koźły z bajki, które spotkały się na wąskiej kładce, znały tajemnicę kompromisu, to z pewnością nie wpadłyby do wody, ale spokojnie, po kolei, przeszły każdy na swój brzeg.

Sytuacja pomiędzy prawicą a lewicą w Polsce jest dzisiaj podobna, z tą jednak różnicą, że kładka polska jest szeroka i że wystarczy na niej miejsca dla obu stron, które stoją naprzeciw sobie z nastawionymi rogami. Mogą się one spo-

kojnie minąć, trzeba tylko aby każda ze stron uznała prawo drugiej strony do przejścia i nie spychała przeciwnika w niebezpieczny nurt, zmacony u dołu społeczeństwa hasłami przewrotu, bo ten może pochłonąć jeden i drugi obóz.

Zrozumienie tego jest istotą obchodzącego nas zagadnienia.

Prawda nie jest przywilejem tego lub innego stronnictwa. Każde ugrupowanie polityczne posiada jej część. Z tych części składa się dopiero całość, która jest własnością narodu. Dlatego ideał zgody społecznej nie może być wyhodowany na substracie programowym jednego tylko stronnictwa, ale musi powstać drogą zsyntetyzowania programów wszystkich stronnictw, z których każde odda swoją część prawdy na rzecz prawdy powszechnej. Jej światło dopiero położy kres zaślepieniu tych, co tylko widzą siebie, a całości narodowej wzrokiem objąć nie mogą.

Bez tego światła ideał zgody społecznej będzie zawsze tylko czczym hasłem, a ideał państwa silnego fikcją, która się nigdy nie urzeczywistni.

IDEAŁ SŁUŻBY OJCZYŹNIE.

LIBRARY OF THE UNIVERSITY OF TORONTO

W przekonaniu ogólnem *slugą Ojczyzny* jest żołnierz i urzędnik. Jednego i drugiego Ojczyzna wynagradza za to materialnie i moralnie.

Materialnie przez zabezpieczenie bytu, uwolnienie od współzawodnictwa na szerokiej arenie zmagania się zdolności i sił ludzkich, gdzie o powodzeniu jednostki rozstrzyga tylko jej niewątpliwa wyższość i gdzie „awansuje“ wyłącznie ten, kto swoją inicjatywą, rzutkością i przedsiębiorczością góruje nad innymi.

Moralnie — w wojsku przez mundur, który wyróżnia noszącego go z szarej masy, otacza aureolą obrońcy honoru narodowego i granic ojczyzny, i legitymuje go wszędzie bez okazywania dowodów osobistych. Przywilej to wielki. Dość porównać dwudziestoletniego porucznika z rówieśnym mu akademikiem. Pierwszy jest już w społeczeństwie czemś określonym i wszystkie drzwi stoją przed nim otworem, drugi jest dopiero kandydatem na obywatela,

który powoli, stopniowo, krok za krokiem musi dobijać się naprzód dyplomu, a potem stanowiska, przyczem nawet wówczas, kiedy to stanowisko już zdobędzie, utonie zawsze w masie i zewnętrznie niczem się od niej nie odróżni. Najwięksi w narodzie ludzie są na ulicy tylko zwykłymi przechodniami. Niczem więcej. Najmniejsi natomiast jenerałowie są zawsze i wszędzie jenerałami, którym honory wojskowe oddaje każdy posterunkowy.

Niemniej urzędnik, pozostający w służbie cywilnej, otrzymuje od państwa nagrodę moralną w postaci świadomości, że pracą swoją przyczynia się bezpośrednio do należytego funkcjonowania złożonej maszyny państwowej, że w maszynie tej jest kołem lub kółkiem niezbędnem i że współdziała w ten sposób wzrostowi siły i potęgi Ojczyzny. Nadto otrzymuje on także za wzorową służbę odznaki zewnętrzne w postaci orderów, które dają zadowolenie jego ambicjom lub próżności osobistej. Statystyka odznak tego rodzaju we wszystkich państwach udowadnia, że lwia ich część dostaje się zawsze urzędnikom. Obywatele innej kategorii otrzymują je znacznie rzadziej i to już tylko za wyjątkowe usługi lub wyjątkowe talenty.

Szeroki ogół, patrząc na te wyróżnienia, z których korzystają wojskowi i urzędnicy, i widząc ich w nieustannej służbie państwa, skłonny jest do mniemania, że ten wojskowo-urzędniczy aparat, który państwo dla swoich potrzeb utrzymuje, uwalnia go od troski bezpośredniej o sprawę Ojczyzny.

„Niech o to boli głowa tych, którzy biorą za to pieniądze, otrzymują rangi, tytuły i odznaczenia i mają być zabezpieczeni w postaci emerytury — rozumuje średni obywatel. Ja, pozostawiony samemu sobie, muszę dbać przede wszystkim o własne interesy, bo nikt o mnie nie pomyśli. Jeżeli więc płacę regularnie podatki, jestem w porządku“.

Otóż tak nie jest. W służbie Ojczyzny jesteście wszyscy. Od chwili, kiedy zaczynamy myśleć i czuć, jak Polacy myśleć i czuć powinni, Ojczyzna zalicza nas w poczet swoich sług i żąda od nas nietylko spełnienia wszystkich obowiązków, które określa nam i dyktuje rząd, ale również całego szeregu codziennych i nieznanym nikomu czynów, które podnoszą nas dopiero do miary rzeczywistych obywateli.

Myślą, wolą i uczynkami całego naszego życia musimy być mocno i nierozzerwalnie sprzę-

gnięci z Ojczyzną. Nie może być w niej nic obojętnego dla nas, nic obcego. Wszystko, co jej dotyczy, dotyczy także nas. Każdy jej pożytek jest naszym pożytkiem. Każda jej krzywda — naszą krzywda.

Nie żyjemy nigdy dla siebie. Żyjemy dla Ojczyzny, zespoleni z nią najściślej. Bez niej istnienie nasze byłoby pozbawione tej wewnętrznej treści, która stanowi całe bogactwo duszy ludzkiej, związanej z przeszłością, teraźniejszością i przyszłością narodu.

Naród — to „my“ i państwo — to „my“.

Wola narodu i wola rządu, który ten naród z siebie wyłonił, nie są i nie mogą być żadną wolą odrębną od naszej woli. Są one wypadkową naszych myśli, dążeń i pragnień. Dlatego niepodobna jest rządzić wbrew narodowi. I dlatego również niepodobna jest czynić rząd odpowiedzialnym za wszystko zło, które dzieje się w kraju, ani wysławiać go za wszystko dobre. Rząd jest tylko regulatorem tych dodatnich i ujemnych wartości moralnych i materialnych, jakie wytwarzają i wnoszą do życia obywatele państwa. Oni są zawsze albo współtwórcami siły państwa albo winowajcami jego słabości i niedołęstwa. Nie jest też wcale paradoksem

to, że każdy, naród ma taki rząd, na jaki zasługuje“. Tkwi w ten niezbita prawda.

Wszyscy teoretycy państwa godzą się na to, że im silniejszy jest w danym narodzie duch obywatelski, tem mniejszą odgrywa tam rolę przymus państwowy, oparty na sile. Natomiast rząd „silnej ręki“ niezbędny jest tam, gdzie mieszkańcy państwa nie są świadomymi swoich praw i obowiązków obywatelami, służącymi narodowi i państwu ochotnie i z dobrej woli, gotowymi zawsze do ofiar i poświęceń na rzecz Ojczyzny, ale muszą być do spełnienia tych obowiązków, ofiar i poświęceń zniewaleni lub przynajmniej nieustannie zachęcani. Tam rząd odgrywa rolę dozorca, czuwającego nad tem, aby wszyscy oddawali państwu to, co mu się należy. Inaczej bowiem obywatelom będzie się działo dobrze, a państwu źle. Skarbce prywatne będą pełne, a skarb państwa próżny. Rolnicy, przemysłowcy, kupcy, właściciele nieruchomości, przedstawiciele zawodów wyzwolonych i wogóle wszyscy, którzy posiadają lub zarabiają ponad średnią normę, ukryją przed państwem istotną wysokość swoich dochodów i wpłacą na jego rzecz mniejszy, niż powinni, podatek, a bogacąc się sami, obojętnie

będą patrzyli na braki i niedobory Ojczyzny w zakresie szkolnictwa, komunikacji, budownictwa gmachów użyteczności publicznej, potrzeb nauki itd.

Wręcz odwrotnie dzieć się będzie tam, gdzie duch obywatelski wskazuje każdemu mieszkańcowi kraju nie tylko jego bezpośrednie względem państwa obowiązki, ale budzi w nim jednocześnie chęć i wolę współdziałania państwu w zakresie zaspokajania potrzeb, nieobjętych narazie przez program rządu i niewidocznych w budżecie.

Wielkie fundacje o charakterze naukowym i społeczno-filantropijnym, jakich tyle posiadają Stany Zjednoczone Ameryki Północnej, w tem właśnie poczuciu ducha obywatelskiego mają swoje źródło.

To poucza nas także o potężnej roli, jaką w życiu państwa ma do odegrania inicjatywa prywatna, częstokroć znacznie płodniejsza w następstwa, niż inicjatywa rządowa.

Obywatele, zespoleni z sobą jedną ideą, zszeregowani w karny zastęp, rozumiejący potrzeby własnego społeczeństwa, mogą dokonywać istnych cudów i przyczynić się do takiego udoskonalenia życia, na jakie długo na-

leżałoby czekać, gdyby czynniki państwowe były jedynym motorem poczynañ twórczych w narodzie.

Niczem te¿ innym tylko podejmowaniem tej inicjatywy jest nasza służba Ojczyźnie na wszystkich polach życia.

Niema na drabinie społecznej człowieka tak szarego i nikłego, któryby, spełniając sumiennie wyznaczoną sobie pracę i dążąc do jej udoskonalenia, to znaczy do osiągnięcia *maximum* wydajności przy *maximum* wysiłku, nie służył tem pożytecznie Ojczyźnie, nie przysparzał majątku narodowi i nie przyczyniał się tem samem do siły państwa.

Odwrotnie, wszyscy, którzy pracują opie-szale i leniwie, trwonią nie tylko swój czas własny, ale czas swojego narodu, zmniejszając jego wytwórczość, co znów z kolei rzeczy odbija się ujemnie na sile państwa, uszczuplając moralne i materjalne jej zasoby.

Niemcy przedwojenne miały opinię naj-pracowitszego narodu na świecie. Nie była to opinia gołosłowna, lecz oparta na pozytywnych pracy niemieckiej wynikach. Wszechstronny rozwój i wzrost sił państwa niemieckiego był wymownym dowodem powszechnego wysiłku

narodu w kierunku utrwalania swojej potęgi i zdobywania coraz to nowych wpływów. Towarzyszyło temu powszechne zadowolenie i powszechna duma. I gdyby ta duma, najzupełniej zresztą zrozumiała, nie przerodziła się w pychę, gdyby państwo niemieckie nie pragnęło wbrew prawu i poczuciu sprawiedliwości stać się państwem światowem i narzucić swoją władzę i wolę całemu kontynentowi, to stałoby się niewątpliwie najpotężniejszym i najszcześliwszym państwem na globie ziemskim, posiadało bowiem wszystkie ku temu zadatki.

Patryjotyzm ogółu ludności niemieckiej był bez zarzutu. Ludność ta pracowała świadomie dla Niemiec i z myślą o Niemczech. Oszczędzała i oddawała państwu z całym zaufaniem swoje oszczędności na inwestycje znaczenia ogólnego. Szybko gęstniała sieć dróg bitych i żelaznych, rozwijała się żegluga, rosła marynarka wojenna, budowały się szkoły, muzea, teatry, powstawały biblioteki i pracownie naukowe. A tam, gdzie środki, będące w rozporządzeniu państwa, nie wystarczały, naród przychodził państwu z pomocą i składał na jego ołtarzu potrzebną ofiarę. Dość przypomnieć niemiecki *Flottenverein* i jego wydatne

przyczynienie się do wzrostu siły państwa niemieckiego na morzu.

Możemy mieć do Niemców głęboki i słuszny żal za krzywdy, które nam w toku dziejów wyrządzili, ale nie możemy nie uznać w nich tego, że umieli pracować dla swojej Ojczyzny, dla swojego państwa, dla idei niemieckiej. Zwłaszcza podczas wojny.

Podobnie nie możemy bez wzruszenia myśleć o miłości Ojczyzny, jakiej dowody dała światu Francja, walcząc po rycersku aż do zwycięstwa. I tu wysiłek ludności był powszechny. I tu nie było nikogo, ktoby nie odsłużył swojej służby Ojczyźnie z całą gotowością poniesienia dla niej najcięższych ofiar z krwi i mienia. Ofiary te nieśli nietylko żołnierze na polach bitew. Nieśli je także wszyscy obywatele, pracujący na rzecz zwycięstwa na każdej placówce życia francuskiego. Nieśli ją starcy, kobiety i dzieci.

I to jest powszechność służby narodowej, powszechność, obowiązująca każdy, świadomy swoich zadań i celów naród, nietylko podczas wojny, nietylko w obliczu szczęścia, lecz zawsze, w każdodzienniej chwili, która nas woła do jakiegokolwiek pracy, bo praca każdego z nas

jest cegłą, którą składamy pod budowę gmachu naszej Ojczyzny, naszego państwa.

Z lichego zbudowane materiału, nie wytrzyma ono burz i wichrów dziejowych. Natomiast będzie silne i potężne, jeżeli mu oddamy to, co jest w nas najlepsze — myśl czystą, duszę miłą i wolę bezinteresownego czynu, opartego o szlachetną inicjatywę.

* * *

Powszechna, obowiązująca wszystkich nas, służba narodowa wymaga, abyśmy nieustannie mieli na oku potrzeby narodu i państwa i starali się zaspokajać je z własnej woli, bez przymusu.

Potrzeby te dają o sobie znać na każdym kroku i niema obywatela, któryby ich nie widział, chyba, że idzie przez życie z zawiązanymi oczami. Kto jednak raz oczy otworzył na to, co się dokoła niego dzieje i odczuł swój związek z całokształtem życia narodowego, ten, niezależnie od warstwy, do której należy, będzie umiał ocenić zawsze, co i kiedy potrzebne jest państwu, bo to samo potrzebne jest i jemu.

Jeżeli robotnik lub włościanin odczuwają potrzebę istnienia szkoły w osadzie fabrycznej

lub na wsi, gdzie mieszkają, to potrzeba ta nie jest tylko ich osobistą potrzebą, lecz jednocześnie jest także potrzebą państwa, z tą różnicą, że państwo potrzebuje na swoim obszarze nie jednej, lecz setek i tysięcy szkół, zaspokajających dążenie do oświaty setek i tysięcy dzieci robotniczych i włościańskich.

Kto zatem da inicjatywę i dopomoże własnymi środkami do założenia szkoły w swojej gminie wiejskiej czy miejskiej, zdejmie tem samem część ciężaru z bark państwa, które w danym momencie, nie rozporządzając odpowiednimi środkami, takiej szkoły założyćby nie mogło.

W dziedzinie przedewszystkiem oświaty społeczeństwo nie może tedy oglądać się wyłącznie na państwo i czekać, aż warunki pomyślne pozwolą mu obdarzyć kraj taką siecią szkół, aby znalazło się w nich miejsce dla wszystkich.

Państwo ma do zaspokojenia wielorakie potrzeby narodu. Potrzeba oświaty jest tylko jedną z nich i — z punktu widzenia rządu — nie najważniejszą. Ustępuje ona zawsze i wszędzie na plan drugi wobec potrzeb obrony i życia gospodarczego. Uzbroidź żołnierza, ułatwić rol-

nikowi zasiew pól a przemysłowcowi nabycie surowców, niezbędnych do przeróbki, to są rzeczy, z którymi czekać nie można. Wydatki na te cele pochłaniają olbrzymie sumy i tak dalece obciążają budżet państwowy, że pilne nawet potrzeby oświaty i nauki odkłada się zazwyczaj bez wyrzutów sumienia do „lepszyczasów“.

Tymczasem, z drugiej strony, te „lepsze czasy“ nie nadejdą same, bo wszystkie czasy są jednakowe. Może je tylko uczynić lepszymi człowiek lepszy, a więc oświeconszy, moralniejszy i pracowitszy. Takiego człowieka trzeba wychować, trzeba go z biernej i ciemnej masy wydobyć i urobić na obywatela, który da państwu nie tylko jednostkę, zdolną do noszenia karabina i do pracy mięśniowej, lecz Polaka, ożywionego gorącym uczuciem patriotycznym i pragnącego służyć Ojczyźnie czynem żywym i płodnym w następstwa.

I oto dlaczego oświata szerokich mas jest sprawą w Polsce dzisiejszej nie do odłożenia na jutro, bo „nim słońce wzejdzie“, rosa może „oczy wyjeść“.

A że państwo w obecnych warunkach nie ma środków na oświecenie i wychowanie sobie

takich obywateli, jakich potrzebuje, przeto oświecać ich i wychowywać dla państwa powinno społeczeństwo, pracą zaś tą kierować musi ta warstwa, która najlepiej potrzeby państwa i narodu rozumie i najjaśniej je widzi, więc inteligencja. Jej zadaniem jest tak pracę oświatowo-wychowawczą w kraju zorganizować, aby wciągnąć do niej jaknajszersze koła ludności i zaprząć je w ten sposób do współdziałania moralnego i materjalnego.

Instytucją samopomocy społecznej w dziedzinie oświaty jest *Macierz Szkolna*. Gdyby w jej szeregach znalazły się miliony Polaków, wyznających jej hasła czynnie, państwo uzyskałoby z tej strony w dziedzinie tworzenia szkolnictwa powszechnego niesłychanie wydatną pomoc.

Tak samo jest i na wyższych szczeblach oświaty, tam, gdzie idzie o poparcie nauki, literatury i sztuki.

Państwo, które dzisiaj troszczy się przede wszystkim o to, aby jego aparat rządowy funkcjonował prawidłowo, które wyteża swoją uwagę na to, aby stosunki społeczne i polityczne utrzymać w równowadze, podtrzymać wytwórczość przemysłu, a tem samem zapewnić pracę

licznym rzeszom robotniczym, uporządkować skarb i wzbudzić przez to zaufanie do swoich sił finansowych i gospodarczych za granicą, na ostatni usunęło plan sprawy nauki, literatury i sztuki.

A jednak bez normalnej produkcji naukowej, literackiej i artystycznej nie może być państwa silnego, bo skądże — jak to już mówiliśmy wyżej — będą się brały jego siły moralne, tak niezbędne obok sił materialnych?

Państwo z wielotysięczną armją dobrze uzbrojonych żołnierzy a bez kultury będzie państwem barbarzyńskim. O cywilizacji stanowi bowiem dopiero współdziałanie każdego narodu w wytwarzaniu i spożywaniu tych dóbr umysłowych i duchowych, któremi ludzkość stoi.

Dlatego naród, który dba o siłę swojego państwa i o jego stanowisko wśród innych narodów, nie może patrzeć obojętnie na upośledzenie nauki, literatury i sztuki, ale musi powołać czynniki społeczne do zaspokojenia tych potrzeb, których państwo w tym zakresie zaspokoić nie może.

Tak dzieje się wszędzie, nawet w najbogatych państwach.

Tak samo i w bardzo szerokim zakresie powinno być i u nas, ale, niestety, tak nie jest.

Nasze wyższe zakłady naukowe pod względem swoich uposażeń materialnych są upośledzone, jak nigdzie na świecie. Uczni nasi walczą nie już z osobistymi brakami, bo te zawsze można złożyć na ołtarzu nauki, ale z brakami środków do badania prawdy. Warsztaty ich pracy naukowej pozbawione są odpowiednich narzędzi, biblioteki odpowiednich książek. Niedawno prof. Banachiewicz, kierownik krakowskiego obserwatorium astronomicznego, skarżył się na to, że obserwatorium to jest dzisiaj tylko składem do pokazywania narzędzi, jakimi obecnie pracować już nie należy. Skargę tę i to nie tylko w stosunku do astronomji można rozszerzyć na wiele katedr, na wszystkie uniwersytety i wszystkie instytucje naukowe polskie.

Wszędzie jest ta sama tragedia: państwo dać nie może a społeczeństwo dać nie chce.

A gdzieindziej?

Prof. Ernst w swojej książeczce p. t. „Stan astronomji u nas a gdzieindziej“ przypomina niejakiego Jamesa Licka, miliardera z San Francisco w St. Zjednoczonych Am. półn.

Ów Lick, zdobywszy ogromny majątek, zamierzał pod koniec życia wznieść piramidę na kształt egipskich, aby służyła mu ona za grobowiec i przekazała pamięć o nim najdalszym pokoleniom.

Zdarzyło się jednak, iż spotkał się raz z pewnym astronomem, który przekonał go, że pamięć swoją godniej uwieczni, jeżeli za pieniądze, przeznaczone na piramidę, wybuduje wielkie obserwatorium astronomiczne, które otrzyma jego nazwisko.

Lick dobrej rady usłuchał. Obserwatorium jego imienia, znane dzisiaj w całym świecie, jako „Obserwatorium Licka“, wzniesione zostało w roku 1875 i ofiarowane przez fundatora uniwersytetowi kalifornijskiemu w San Francisco.

Tak postępują Amerykanie. A my? Ziomkowie Kopernika?

Ofiary na Instytut astronomiczny, o którego powstanie z niezmordowaną energją zabiega prof. Banachiewicz, według wykazu, zamieszczonego w ostatnim okólniku obserwatorium krakowskiego, wynoszą 70.300 mkp.

Jeszcze charakterystyczniejszą rzecz zaznacza prof. Ernst, oświadczając, iż jedynym, znanym mu funduszem, złożonym samorzutnie

na cele astronomiczne, jest „pochodzący ze źródła zupełnie nieoczekiwanego legat Hersza Lejby *Kapelusza* w kwocie 6000 marek, oddany do dyspozycji Zakładu astronomicznego uniwersytetu Jana Kazimierza we Lwowie“.

Przytoczone powyżej fakty rzucają aż nadto jaskrawe światło na stosunek społeczeństwa polskiego do potrzeb nauki polskiej.

I nie można pocieszać się tem, że jednak od czasu do czasu zjawi się jakaś ofiara hojniejsza. Jedna jaskółka nigdy wiosny nie czyni.

Na ogół więc w chwili obecnej nikt w Polsce nie dba ani o naukę, ani o literaturę, ani o sztukę.

Państwo nie może, a społeczeństwo nie chce, bo uważa, że to obowiązek państwa.

Znaczy to, że nie nastąpiło u nas jeszcze takie przebudzenie ducha obywatelskiego, któreby uczyniło potrzebą wewnętrzną każdego Polaka oświeconego współdziałanie w rozwoju tego, czem każdy naród chlubi się i co jako swoją wartość prezentuje przed innymi narodami.

A jednak podobno mamy już wielu miliardów. Z ich to strony państwo przedewszystkiem powinno doznawać pomocy — mówi głos ogółu.

Niewątpliwie, ale niema fałszywszego w stosunku obywatela do państwa stanowiska, jak to właśnie, które twierdzi: „niech daje ten, kto ma“.

Do pracy dla państwa, dla rozwoju i wzrostu jego sił, do zastępowania go tam, gdzie własne jego czynniki są bezsilne, powołani jesteśmy wszyscy, jako naród. Społeczeństwo musi sobie jasno i wyraźnie zdać sprawę z tego, że nikt i nigdy nie odrobi za nie tego, co powinno zrobić samo dla siebie we wszystkich dziedzinach życia, które wołają o inicjatywę i wysiłek zbiorowy.

Oglądać się w tych przypadkach na państwo znaczy to samo, co świadomie rezygnować, bo państwo wszystkiemu nie podoła, a gdyby podołać chciało, musiałoby uczynić z nas niewolników, odbierając nam prawa wolnych obywateli, odpowiedzialnych za swoje własne i jego losy we własnym sumieniu i sercu.



SPIS RZECZY.

	Strona
Postęp a szczęście	1
Apetyty i nasycenia	51
Rzeczy niepotrzebne	63
Proletaryzacja inteligencji	75
Prostota a prostactwo	87
Narodziny ideału	99
Ideał dobrotytu	111
Ideał oświaty	123
Ideał zgody społecznej	135
Ideał służby Ojczyźnie	147



V.5. —

MM13/13002

